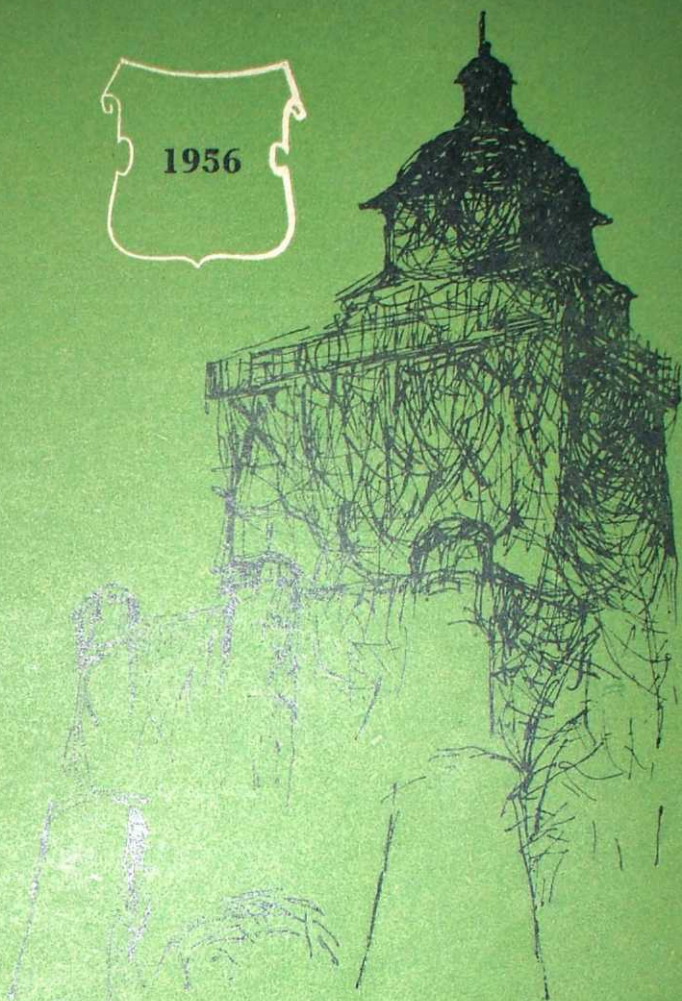




1956



KAMENA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XXIII

LUBLIN

NR 4 (110)

T R E Ś Ć

KAMIEŃ CZY KALAMARZ	1
I MAJA NA ZIEMI LUBELSKIEJ WE WSPOMNIENIACH CZŁONKÓW KPP	3
WITOLD WANDURSKI: Stolarka	8
ALINA RYBICKA-TOMASZEWSKA: O wolność i godność człowieka	8
TADEUSZ CHABROS: Między histerią a prawdą rewolucji	15
WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI: Straszne papiery — przeł. <i>Maria Bechczyc-Rudnicka</i>	17
ADOLF LEKKI: Podajcie mi pomocną dłoń	19
JANUSZ ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI:	21
ZYGMUNT ŁUPINA: Oskarżam	22
ANNA JAKUBISZYN: O byłe kanałii	23
JERZY KRZYSZTOŃ: Kiosk	26
ZYGMUNT MIKULSKI: Sen	28
KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI: Przed zaśnięciem; Do Erato; Ono	28
NIKT NIE WIEDZIAŁ — <i>zar</i>	30
MARIA SZCZEPOWSKA: Trudni rodzice	31
ROMAN ROSIAK: Cyfry, które biją na alarm	35
ZOFIA WYRWA: Kwiaty i kamienie	39
NA TEMAT HARCERSTWA POLSKIEGO SŁÓW KILKA — <i>wk</i>	40
O KLUBIE I JEGO MŁODYCH BYWALCACH — <i>wk</i>	41
ZBIGNIEW STEPEK: Wędrowki po Wydziale Kultury PWRN	42
KAZIMIERZ WINKLER: Ludzie schodzą już z pola	43
HENRYK HEINE: Lorelei — przeł. <i>Stefan Zarębski</i>	44
JANUSZ ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI: Lubelskie spotkania z Filmią	44
WŁODZIMIERZ CHEŁMICKI: Wśród plastików Zamościa	45
WŁADYSŁAW ĆWIK: Kameny i omeny	47

WŚRÓD KSIĄŻEK:

<i>jnk</i> — Dni Książki i Prasy w Lublinie i Lubelszczyźnie; <i>jnk</i> — Nowości wydawnicze; <i>Stefan Papée</i> — „Ziemia bez skarg” Józefa Kłosowskiego	47
---	----

NOTY:

Niedzielnny dodatek do „Sztandaru Ludu”; W n-rze 14 „Życia Literackiego”; W związku ze 100-leciem urodzin Henryka Ibsena; Rocznica Rembrandtowska; Osobliwością swego rodzaju...; Miłośnicy twórczości Aleksandra Błoka; Literaci czescy, słowaccy i polscy — *-kaj-*

51

KORESPONDENCJA

KAMMENA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XXIII

LUBLIN, 1956

Nr 4 (110)

KAMIEŃ CZY KAŁAMARZ

Niepublikowany, nieautoryzowany fragment przemówienia Bolesława Bieruta na Sesji Naukowej w Lublinie, poświęconej rewolucji 1905 r., odbytej w dniach 26 i 27 listopada 1955 r.

To była pewna walka polityczna z jej szczególną w Polsce specyfiką. A Lubelszczyzna miała także swoją specyfikę. Przede wszystkim chcę zwrócić uwagę, że tą specyfiką Lublina i Lubelszczyzny było to, że Lubelszczyzna nie miała wielkiego przemysłu — był on średni, drobny i rzemieślniczy; że było bardzo wiele zakładów pracy, ale w tych zakładach pracy było mało robotników. Największy z nich — to fabryka Wolskiego, Plage-Leśkiewicza, fabryka wag Hessa, a te inne: Moritza, Kuczyńskiego to były małe zakłady pracy, po kilku, czy kilkadziesiąciu robotników. Była ogromna moc zakładów pracy zatrudniających po kilku robotników. Wielko-przemysłowego proletariatu nie było. Dlatego, jeśli porównamy wydarzenia rewolucyjne w Lubelskim z Łódzkim, gdzie proletariat wychodził na barykady, to tam był on skoncentrowany w wielkich zakładach pracy, a tutaj był rozproszony w drobnych zakładach pracy. Miał jednak wyjątkową rolę na wsi jako proletariat rolny, dlatego jest to szczególna specyfika Lubelszczyzny w 1905 roku: wielkie, masowe strajki rolne.

I znów wróć do żywiołowości i organizacji. Byłoby naiwnością sądzić, że SDKPiL była w każdym folwarku i rzucała hasło strajku. W okresach rewolucyjnych hasła te bardzo szybko, jak pożar z wiatrem, rozchodzą się. Ale że to był tak całkiem żywiołowy ruch, nie można tego, towarzysze, powiedzieć. Czytamy w opisie tych strajków: w jednym folwarku robotnicy zebrali się, poszli do drugiego, razem poszli do trzeciego. Było ich 300, potem 500, potem 600. To jest żywiołowa organizacja, która właśnie budzi rewolucję, inicjatywa rewolucyjna. Tu chodzi się masą, jak pójdziemy masą, to nikt się nam nie oprze — a na tym polega cała tajemnica żywiołowości i organizacyjności. Trudno jest żywiołowość oddzielić od organizacyjności. Żywiołowa organizacyjność — można by powiedzieć. Robotnicy rolni zdobyli doświadczenie, że tak jest skuteczniej i tak się organizowali. Rola partii sprowadzała się w ogóle do pobudzania ruchu i rzucania hasła, a ruch się rozrastał. Na tym tle ucieknę się do paru wspomnień. Widzimy się rzadko i jak człowiek przyjechał, to trzeba powiedzieć co tam wtedy widział. Obowiązek pewien na człowieku leży, żeby podzielić się wrażeniami. Na to czeka — i słusznie — młodzież. Muszę najpierw zacząć od legend, które krążą i nawet tu były odczytywane na temat mojej roli w rewolucji 1905 r. Ja byłem dzieckiem, miałem 13 lat i żadnej roli w rewolucji nie wypełniałem. Chodziłem do szkoły, siedzieliśmy nawet z tow. Skrzydłowskim, który tu jest, w jednej ławce, ale oczywiście przyjmowaliśmy gorąco to, co się działo, całą swoją istotą, całym sercem, a że byłem trochę łobuziakiem, to oczywiście kamień w rękę czy kałamarz — to były narzędzia naszej aktywności, ale w każdym razie nie kierowałem, ani inicjatywy nie podejmowaliśmy. Za młodzi byliśmy. Ale uczestniczyliśmy w tym ruchu. I bardzo żywo, z całą gorącością, na jaką stać chłopców i dziewcząt w tym wieku, i nawet nieświadomie, „żywiołowo” — powiedziałbym — byliśmy organizatorami niektórych demonstracji. Jedną taką wywołaliśmy w szkole. To była podstawowa, 2-klasowa szkoła składająca się z 5 klas, gdzie chodziły dzieci rodziców, którzy nie mieli pieniędzy na naukę. To nie była taka szkoła, jaką wy dziś macie. Najpierw się nie

rozumiało języka. Pamiętam, że jak przyszedłem do szkoły pierwszy raz, to nie wiedziałem, że kałamarz nazywa się czernilnica i jak powiedziałem „kałamarz”, to się ze mnie śmiano, a nauczyciel postawił mnie do kąta za to. Myśmy się źle uczyli w niej, bo jej nienawidziliśmy. Ale bądź co bądź był to ośrodek pewnego życia. I właśnie pamiętam, jak w pierwszy dzień stanu wojennego — hasła wyjścia. I właśnie pamiętam, jak w pierwszy dzień stanu wojennego — hasła wyjścia ze szkoły najczęściej przychodzili z zewnątrz, nie wiemy skąd, w tej żywiolowości był zawsze jakiś organizator — gdy ktoś powiedział: strajk, wychodzić, myśmy nie tylko wychodzili, ale wybiegając ze szkoły wypędzaliśmy wszystkich innych. Gdy w jednej z klas nauczyciel zamknął drzwi na klucz, to wybiliśmy szyby i wyważyliśmy drzwi uwalniając kolegów. Na Kalinowszczyźnie była nic wielka szkoła 3-oddziałowa. Akurat mieszkając na ulicy Sieroczej i miałem kolegów na Kalinowszczyźnie. Pobiegliśmy więc — było nas 15 — żeby tam dać hasło do strajku i razem z uczniami tej szkoły — było nas już ze 200 — postanowiliśmy zrobić dziecięcą demonstrację. Właściwie nie my — samo się to jakoś zrobiło. Poszliśmy przez Kalinowszczyznę i gdy dczliśmy na Ruską, do nas się przyłączyli starsi i gdy byliśmy już na moście na Lubartowskiej, była to już tysięczna demonstracja. Mówię to, by dać przykład do problemu żywiolowości i organizacyjności. My — organizatorzy tej demonstracji nie mieliśmy żadnych celów ani zamiarów, ani nie wiedzieliśmy, czym się to skończy, wiedzieliśmy tylko, jak się zaczęło, ale już na Lubartowskiej skądś się wziął Czerwony Sztandar; — skąd — nie wiem, a na Krakowskim mieliśmy kilka sztandarów. Ktoś potem nas poprowadził. Na Krakowskim była już parotysięczna demonstracja. Poprowadzili nas na cmentarz, na grób ks. Ściegiennego — tam często szły demonstracje, to był symbol walki i znów nie wiadomo skąd wziął się mówca i pamiętam, że on powiedział: terazniejsi księża to faryzeusze, jakby Chrystus był, to by wypędził ich z kościoła jako niegodnych. Podobało mi się to, do dziś pamiętam te słowa. Skąd się wziął mówca, jak to się zrobiło — nie wiem. Myśmy byli przyczyną pewnego żywiolu, a demonstracja przyjęła charakter zorganizowany. Potem przyjechała „setka” przed cmentarz, różnymi sposobami wychodziliśmy. Drzwi cmentarza były zamknięte, stoi setka kozaków, ktoś otworzył bramę, tłum idzie. Po trzech czy czterech godzinach całe miasto wrzało, zbierali się ludzie i skończyło się strzelanina na placu przed Krakowską Bramą. 6 czy 7 osób zostało postrzelonych. Ile ich zmarło — nie pamiętam, nie wiedziałem. Wprawdzie to nie urastało do takich nieścisłości, jak teraz. Zresztą i wtedy powstawały łatwo legendy, chociaż nie tak wielkie jak dziś. Dziś powiedziano by pewnie: 700 osób. Ale była strzelanina. Tutaj i żywiol, i organizacja wzajemnie się przeplatały.

Nigdy też nie zapomnę najsilniejszego przeżycia mojego życia, którym była demonstracja, która się zaczęła w lasu na Dziesiątej. Tam był wtedy lasek. Zresztą cały Lublin był wtedy otoczony lasami. To było w dzień bodajże ogłoszenia manifestu carskiego. Tam po raz pierwszy widziałem organizację demonstracji, kiedy ustawiały się na takiej fosie sztandary, kiedy byli mówcy i kiedy — chociaż na demonstracji było kilka partii — jednak nie było zakłócenia porządku. Partie współdziałały ze sobą, nie pobily się, tylko czuły wagę momentu rewolucyjnego i wzajemnie sobie ustępowały. Kolejno mówca jeden po drugim wychodził. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem nazwisko Róży Luksemburg. Podobało mi się bardzo to imię: Róża. I mojego, znacznie starszego brata, który był już w organizacji — w jakiej, nie wiem, bo nie miał do mnie zaufania — pytałem się, kto jest ta Róża Luksemburg. — A no, jak ci to powiedzieć... wódz. — Co to znaczy? — A no, widzisz, to taka królowa SDKPiL. — Ja to przyjąłem dosłownie i wyobrażałem sobie Różę Luksemburg w koronie, jako królową SDKPiL. Wracając do demonstracji trzeba powiedzieć, że była jedną z największych demonstracji w mieście. I ja wtedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie jako chłopiec 13-letni, czym jest siła mas. Bo wszystkie patrole kozackie i policyjne zniknęły z ulicy, demonstracja szła, wszyscy maszerowali krokiem bojowym. Jakiej potężnej siły udzielało się, siły, przed którą uciekł aparat terroru i masy były panami ulicy. Tego momentu nigdy potem nie mogłem zapomnieć. On w pewnym sensie skreślił moje życie, on je uspołecznił. Zrozumiałem, co to jest masa w działaniu, kiedy jest zorganizowana. Ona była wtedy organizowana uczuciem rewolucyjnym, działaniem rewolucyjnym. To się odbiło na mnie. Już nie mógłbym nie być działaczem społecznym od tej chwili. Sądzę, że wielu towarzyszy, którzy przeżywali te okresy, może to powiedzieć o sobie. W tym sensie możemy także mówić o wielkim wpływie i znaczeniu rewolucji 1905 roku — ona ubojowiła klasę robotniczą, podniosła jej świadomość na nieporównanie wyższy poziom niż przedtem. I w tym jest wielka siła rewolucji 1905 roku i dlatego warto studiować to, badać formy, analizować, żeby odślaniać mechanizm działania wielkich masowych sił.



Feliks Dzierżyński na czele demonstracji pierwszomajowej w Warszawie w 1905 r.
(rysunek Jana Zamoyskiego)

I MAJA NA ZIEMI LUBELSKIEJ WE WSPOMNIENIACH DZIAŁACZY KPP

67 lat mija od czasu, jak po Kongresie Paryskim II Międzynarodówki robotnicy dowiedzieli się o ustanowieniu na nim święta jedności mas.

Na wezwanie Kongresu do święta 1-majowego włączyli się i robotnicy polscy. Proletariat polski pod sztandarem ZRP i II Proletariatu zorganizował strajk pierwszomajowy. Był on wyrazem połączenia się polskich robotników z wielką armią międzynarodowego proletariatu. Minął rok. Zbliżało się święto majowe. Robotnicy rzucali pracę, organizowali demonstracje, pochody, nieśli czerwone sztandary. Prześladowania, represje, areszty nie zdołały już powstrzymać manifestantów.

W kręgu szybko mknących wydarzeń historycznych święto robotnicze zmieniało niejednokrotnie swój sens i charakter. Pierwsze manifestacje majowe wyrażały dążenia mas do poprawy warunków materialnych, do zmniejszenia dnia pracy i do podwyższenia płacy. W miarę zaostrzającej się sytuacji społecznej, narodowej i ekonomicznej demonstracje pierwszomajowe przybierały barwę polityczną. Polska klasa robotnicza wspólnie z rosyjską przypuściła szturm do twierdzy caratu, walcząc o wyzwolenie społeczne i narodowe.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości polska klasa robotnicza nabrała znów szerszego oddechu, a choć skłócona i rozbita organizacyjnie przez swoich wrogów, dawała corocznie w dniu 1 Maja mocny i głośny wyraz pragnienia pełnej wolności i wyzwolenia społecznego.

Ciężka była nasza droga od 1 Maja 1890 r. Ofiarna, pełna bohaterstwa i poświęcenia, walka najlepszych bojowników sprawy ludu pracującego, walka pokoleń rewolucjonistów przygotowała triumf naszej sprawy.

Wspomnienia uczestników tych walk, organizatorów demonstracji 1-majowych, działaczy SDKPiL i KPP z terenu Lubelszczyzny, otworzą nam karty wspaniałej historii Święta robotniczego naszego województwa.

1 Maja r. 1904

Falę masowego strajku 1-majowego rozpoczął w Lubelszczyźnie rok 1904. Począwszy od tego Maja — miasta, miasteczka i wsie co roku obchodziły w coraz cięższych warunkach swoje Święto.

1 Maja r. 1905

Pod znakiem powszechnego strajku, którego inicjatorem i organizatorem była SDKPiL, przeszedł 1 Maja w Lublinie.

Dzień ten poprzedziły ulotki i odezwy do robotników miast i wsi. SDKPiL wzywała:

„W tym dniu ani jeden robotnik, ani jedna robotnica nie powinna stanąć do pracy. Cisza powszechna zapanować musi 1 Maja we wszystkich fabrykach, warsztatach, kopalniach. I Was bracia — robotnicy rolni, wzywamy w tym dniu do naszego święta...”

Na apel SDKPiL w dniu 1 Maja 1905 r. wstrzymano pracę we wszystkich fabrykach, warsztatach przemysłowych, rzemieślniczych i sklepach.

Mimo zaostrożonej czujności władz carskich i zwiększonych patroli odbyły się próby manifestacji na Krakowskim Przedmieściu.

1 Maja r. 1906

Jeden z działaczy SDKPiL — Jan Okoń wspomina:

„...W przeddzień 1 Maja na ulicach Lublina ukazało się mnóstwo ulotek, odezw i proklamacji, różklejonych na płotach i murach kamienicy.

Masowo rozrzucone były ulotki na chodnikach ul. Namiesnikowskiej (dziś Narutowicza), Krakowskim Przedmieściu, Szerokiej, w ogrodzie Bronowickim.

Na Kośminku rozrzucono odezwy w trzech językach: polskim, rosyjskim, żydowskim. Ulotki w języku rosyjskim skierowane były do żołnierzy, którzy kwaterowali w pobliżu tej dzielnicy.

1 Maja całe miasto tonęło w czerwieni. Nocą, przed świętem, zaciągnano czerwone sztandary na kominach fabryk, na słupach i drutach telefonicznych, na wysokich drzewach.

Rankiem 1 Maja robotnicy fabryk: Wolskiego, Moritza, Hessa i Kuczyńskiego oraz w całym szeregu innych zakładów przemysłowych i warsztatów rzemieślniczych przerwali pracę i wyszli, ze śpiewem pieśni rewolucyjnych, manifestując ulicami miasta.

1 Maja r. 1922.

Nowy aparat burżuazyjno-obszarniczy nie zdołał powstrzymać chłopów i robotników rolnych Lubelszczyzny w świętowaniu 1 Maja. Żadna siła nie zdołała zahamować wystąpień majowych na wsi.

Strajkiem uczcili w tym roku święto pracy robotnicy cukrowni Zakrzówek.

1 Maja r. 1925

KPP-owiec Gryta Marcin z Zakrzówka mówi:

„...Kilka dni przed 1 Maja odbyło się zebranie w moim domu, na którym Stanisław Wójtowicz zreferował historię tego święta. Po krótkiej dys-

kusji aktywiści z cukrowni Zakrzówek i robotnicy Iolwarku Nowy Zakrzówek postanowili przeprowadzić szeroką propagandę za przeprowadzeniem święta 1 Maja w ich gminie. Rozprowadzili literaturę partyjną wśród robotników cukrowni, chłopów i biedoty żydowskiej. Nawoływali do przerwania pracy”.

1 Maja r. 1926

I znów w Zakrzówku załopotwały czerwone sztandary. W różnych punktach zbierali się robotnicy rolni i chłopi. Policja rozpedzała manifestujących, zdzierała odezwy KPP, śledziła organizatorów.



Bunty chłopskie

1 Maja r. 1926

Członek KPP Grzegorz Wajskop tak opowiada o tym dniu w Lubartowie:

„...Był to dzień jarmarkowy. Do Lubartowa przybyli tłumnie robotnicy i chłopi z różnych stron z czerwonymi sztandarami. Nie pomogła energiczna akcja policji. Ogromne masy ludzi zajęły rynek, gdzie miał się odbyć wiec. Tu ogłoszono płomienne przemówienia. Policja chciała aresztować mówców, jednak zdecydowana postawa ludu udaremniła ten zamiar”.

Z roku na rok pogłębia się nędza robotników i chłopów. Zmieniły się rządy i rządzące partie, pozostał wyzysk.

1 Maja r. 1929

W Lubelszczyźnie i w Lublinie połała się w walce z policją krew bezrobotnych.

Rok 1929 w Lublinie rozbrzmiewał strajkiem i demonstracjami organizowanymi przez partię.

Oto jak wspomina o 1 Maja tego roku Władysław Wójtowicz, członek KPP, współorganizator manifestacji pierwszomajowej w Lublinie:

„...Lubelska organizacja KPP w 1929 r. obchodziła 1 Maja pod sztandarem PPS — lewicy, jako legalnie istniejącej partii. O godz. 8 rano zaczęły gromadzić się tłumy robotników i w ogóle postę-

powej ludności Lublina wokół lokalu PPS-lewicy przy ul. Zamojskiej 10, skąd miał wyruszyć pochód 1-majowy. Przed wyruszeniem pochodu policja tajna jak i mundurowa starała się wyciągnąć towarzyszy, organizatorów pochodu. Zabrano od nas kilku towarzyszy, między innymi sekretarza PPS-lewicy tow. Zygmunta Parczyńskiego.

O godz. 10-tej z lokalu PPS-lewicy wyniesiono sztandary, pod którymi pochód wyruszył do parku Bronowickiego, był on już obstawiony policją. Przed wejściem do parku policja zaczęła szarżować, chcąc rozbić demonstrację. To jej się nie udało. Początkowo ludzie zaczęli rozbiegać się po wszystkich ulicach. Jednak mocna postawa komunistów nie dopuściła do rozbięcia manifestacji. Masy zaczęły z powrotem gromadzić się w parku Bronowickim. Wiec otworzył poseł Stanisław Wójtowicz. Przemawiał nieznanym mi z nazwiska — delegat KPP z Warszawy. Po wiecu pochód ruszył ul. Zamojską i chciał się przedrzeć na Krakowskie Przedmieście, gdzie odbywał się wiec PPS i Bundu. Jednak kordony policji zablokowały wyjściowe ulice, nie puszczając ani kroku dalej z Zamojskiej, domagając się rozwiązania pochodu. Wówczas towarzysze postawili na środku ulicy stół, z którego przemawiał Stanisław Wójtowicz. W czasie przemówienia policja zaczęła atakować pochód, masakrując manifestantów ostrzami bagnatów i kołbami karabinów. Bezbronny lud bronił się kamieniami z bruku. Jednak przeważające siły zmusiły pochód do zejścia się”.



Władysława Wójtowicz działaczka KPP,
obecnie aktywistka PZPR

W Kurowie (powiat puławski) doszło do ostrych wystąpień w dniu 1 Maja. Zorganizowany został wiec, w którym brało udział ponad 4 tysiące uczestników. Inicjatorem demonstracji była KPP. Na wiecu przemawiał Wawrzyniec Grykałowski z Klementowic, członek SDKPiL a potem KPP. Przemówienie Grykałowskiego było bardzo odważne. Policja usiłowała aresztować mówcę, lecz zebrani nie dopuścili do tego. Wezwano posiłki policji, jednak pochodu nie udało się zatrzymać.

Dopiero po manifestacji nastąpiły masowe aresztowania. Jednocześnie też w majątkach obszarni-

czych Kurowa, Garbowa, Przybysławice i Marianki walczyli i strajkowali robotnicy rolni, domagając się poprawy warunków pracy na folwarkach.

1 Maja r. 1930

Bogate są tradycje walki robotników Lublina. Tu 1 Maja w r. 1930 przed urzędem zatrudnienia przy ul. Lubomelskiej Polacy się w walce z policją krew bezrobotnych. Ulice rozbrzmiewały śpiewem Międzynarodówki.

Więść chciała świętować razem z robotnikami.

Pod kierownictwem KPP, KZMP i „Samopomocy Chłopskiej”, w Garbowie od wczesnych godzin rannych nadciągały grupy robotników rolnych wraz z rodzinami. Majątek Garbów połączył się z cegielnią i częścią wsi Miesiące. Do tej grupy dołączyli się robotnicy folwarku Marianka pod kierownictwem Gnapa i Mrozka.

Cukrownia Garbów połączyła się z grupą robotników folwarcznych Przybysławice. Wszystkie grupy zły się w jeden potężny pochód, podążający do Markuszowa na spotkanie z grupą Kurowa. Nastrój był niezwykle radosny; w pochodzie brali udział robotnicy, kobiety i dzieci. Gdy olbrzymi tłum zbliżał się do Markuszowa, pojawił się naprzeciw w otoczeniu granatowej policji wice-starosta Tymiński. Starosta perswadował, by przywódcy rozwiążą pochód, groził rozpezdzeniem, użyciem broni, aresztowaniami itp.

Groźby Tymińskiego okazały się bezskuteczne. Pochód doszedł do Markuszowa. Przed tym do pochodu dołączyła się grupa młodzieży żydowskiej. Do Markuszowa przybyli nowe posiłki policji.

W Markuszowie pochód został zaatakowany, policja zdążyła się tutaj zorganizować. Tymiński nie zapomniał o swoim przyrzeczeniu. Na drugi dzień zaczęły się masowe aresztowania.

O 1 Maja tego samego roku w powiecie krańskim wspomina działacz KPP Michał Iskra:

„...W tym dniu do święta 1-majowego przygotowywało się wiele wsi. Najbardziej aktywnymi okazały się Ugory gm. Dzierzkowice i Święciechów — wioski, w których organizacja KPP była najsilniejsza.

Wiec 1-majowy miał się odbyć w Grabówce, do której z różnych stron ściągali tłumy. Tuż przed Grabówką policja zaatakowała pochód. Tłum rozproszył się w pobliskim lesie i ludzie pojedynczo przybywali na umówione miejsce. Uroczystość zaczęła się odśpiewaniem Międzynarodówki. Ignacy Rybicki, Franciszek Resztak i Władysław Iskra wygłosili przemówienia.

1 Maja r. 1931

7 km. na północny wschód od Lubartowa leży Żórawie Bagno. Wioska ta otoczona z trzech stron lasem, rzadko znaczonej nawet na szczegółowych mapach, była szkołą polityczną dla chłopów lubartowskiego.

2 lutego 1931 r. w stodole Macieja Drozdka w Żórawim Bagnie odbyło się zebranie „Samopomocy Chłopskiej”. Zapadło tam postanowienie,

że w r. 1931 chłop lubartowski będzie świętował 1 Maja razem z robotnikami.

Pod koniec marca ustalono program obchodu święta. W organizowaniu wzięły udział wszystkie radykalne organizacje chłopskie — łącznie z „Wiciami” — pod kierownictwem KPP i KZMP.

Ostatniego kwietnia granatowa policja aresztowała najbardziej aktywnych KPP-wców — organizatorów uroczystości 1-majowej. Mimo to reakcja nie zdołała rozbić przygotowań. W dzień świąteczny wyruszył pochód z Przypisówki w kierunku Lubartowa.

W Przypisówce zbudowano bramę triumfalną, na której widniały hasła: „Precz z rządem reakcyjnym”, „Niech żyje rząd robotniczo-chłopski”, „Niech żyje 1 Maja”. Cała wieś tonęła w czerwieni. Do pochodu dołączyła się młodzież szkolna z pieśniami rewolucyjnymi na ustach. Na czele szła orkiestra, za nią sztandar niesiony przez Jana Wolińskiego z Przypisówki, a potem przez braci Gryglickich.

Czterema szlakami posuwały się wolno pochody z różnych gmin: Kamionki, Firleja, Rudna, Michowa, Łucka, a nawet z Baranowa, z powiatu puławskiego. Wszyscy śpieszyli na godz. 10 do Lubartowa. Przed wejściem do miasta zastąpił im drogę kordon granatowej policji. Atak policji był przygotowany. Przy pomocy karabinów maszynowych „granatowi” usiłowali zatrzymać napierającą pochód, kuli bagnetami, bili pałkami, kolbami, masakrowali. Lud bronił się kamieniami z bruku.

Wachmistrz policji skierował broń w braci Gryglickich z Gawłówki. Śmiertelnie ranny starszy brat nie puścił z rąk drzewca sztandaru, w ostatnim zrywie wbił je w sanacyjnego zbira zadając śmiertelny cios. Najbliższy policjant strzałem rewolwerowym położył trupem drugiego Gryglickiego.

Kilkunastoletni chłopcy z Gawłówki — Bronisław i Stefan Oborscy — rzucili się na policjantów, za ich przykładem poszedł Bronisław Kula z Sobolowa. Kilku policjantów zostało rozbrojonych. Zdobytą broń odwrócili przeciwko „granatowym”. Rozpoczęła się zacięta walka. Na placu boju padł ugodzony kulą Filipek. Ludzie rozsypali się po polu. Pozostali tylko ciężko ranni. Bohatersko broniony sztandar nie został oddany z rąk konającego Gryglickiego, wyrwał go nauczyciel z Wypnichy — Joachim Talarezcuk.

W niemniej rewolucyjnym nastroju przebiegał 1-szy Maja tego roku w innych ośrodkach Lubelszczyzny.

Na wiecu w Kurowie zebrało się ponad 3 tys. chłopów, kobiet i młodzieży z wielu gmin powiatu puławskiego. Po wiecu pochód ruszył w stronę Markuszowa i Garbowa. Nastrój był tak bojowy, że granatowa policja nie usiłowała mu nawet przeszkadzać. Dopiero gdy rozentuzjasmowany pochód doszedł do cukrowni Garbów, a z tłumu dały

się słyszeć głosy: „Do Lublina pod więzienie”, policja wezwała posiłki z Lublina. By nie dopuścić do rozlewu krwi, Komitet Dzielnicowy KPP rozwiązał pochód. Nocą rozpoczęły się aresztowania.

Nastroje rewolucyjne w dniu 1-go Maja tego roku ogarnęły również więzienie lubelskie. Więźniowie poczynili wiele przygotowań, jednak władze sanacyjne wykazywały maksimum czujności, śledząc każdy ruch w celach.

1 Maja r. 1933

Komitet Dzielnicowy KPP w Parczewie ustalił uroczystość 1-go Maja we wsi Mościska i Kropiwiki gm. Wołoskowola. Do wsi Mościska schodzili się grupowo i pojedynczo uczestnicy pochodu. W pochodzie obok dorosłych wzięła udział masowo młodzież wsi: Kodeniec, Hanów, Wyhalew, Lubiczyn, Krzywowierzba, Nietiah, z Uchnina gm. Dębowa Kłoda, Kropiwiki, Mościska. Olchówka, Turno, Górki, gm. Wołoskowola.

Policja pilnowała najbardziej wsi Kodeńca, jako centralnego skupiska komunistów. Mimo jej czujności uczestnicy pochodu zebraли się na czas w umówionym miejscu. Po uformowaniu pochodu we wsi Mościska ruszono do wsi Kropiwiki. Na czoło wysunął się jeden z jego przywódców — Jan Stelmach — członek KPP.



Jan Stelmach, działacz KPP, obecnie aktywista PZPR

Po rozwiązaniu pochodu policja przeprowadziła we wsi Mościska i Kropiwiki masowe rewizje i aresztowania. Edward Małysz wspomina:

„W tymże samym czasie zostały zorganizowane na szeroką skalę manifestacje 1-majowe w okolicy Krasnegostawu. W Kraśniczynie policja granatowa postanowiła rozbić w załżku formujące się coraz bardziej licznie tłumy chłopów i robotników z czerwonymi sztandarami. Początkowo próbowała pertraktować z uczestnikami pochodu. Zapewniała demonstrantów, że od przyszłego roku będzie im wolno świętować. Gdy te nawoływania niewiele pomogły, policjanci chwycili się innej metody — straszili użyciem broni maszyn-

nowej. Nie pomogły prośby ani groźby, policja rzuciła się konno i pleszo na bezbronnych ludzi, masakrując ich barbarzyńsko.

1 Maja r. 1934

We wsi Podwysokie gm. Skierbieszów powiatu zamojskiego odbył się olbrzymi wiec 1-majowy. Po wiecu zorganizowano z pobliskich wsi pochód do Krasnogostawu. Ze śpiewem pieśni rewolucyjnych zdołano dojść do Suchowa. Tu manifestanci zostali zaskoczeni bronią maszynową. Przeważające siły policji zmusiły ich do rozejścia się. W wyniku walki aresztowano 16 osób, ze strony policji było 6 rannych.

Po rozbięciu pochodu uczestnicy wrócili do wsi i zorganizowali akademię 1-majową.

Do uczczenia święta 1 Maja w 1934 r. przygotowała się również z pełnym oddaniem Komuna Więzienna na Zamku Lubelskim.

Starosta Komuny Więziennej — Grzegorz Wajskop — tak mówi o przygotowaniach 1-majowych:

„...w organizowaniu święta dużą pomoc otrzymaliśmy z zewnątrz w postaci czerwonego płótna w dość dużej ilości. W jaki sposób towarzysze zdobyli ten materiał, do dziś jest mi trudno na to odpowiedzieć. W każdej celi była wystarczająca ilość materiału na sztandar. Dla zabezpieczenia cennego materiału przed strażą więzienną i zmylenia straży — więźniowie poprzyszywali sobie kawałki czerwonego płótna pod podszewkę marynarek.

30-osobowa administracja więzienia zrewidowała wszystkie marynarki więźniów. Rankiem rzucono hasło: „Niech żyje 1 Maja — święto klasy robotniczej”. Hasło to podjęły wszystkie cele więzienne i więźniowie zaczęli akandować „Niech żyje!”. W tym też momencie spoza krat więziennych cel wysunęły się czerwone sztandary; więźniowie śpiewali Międzynarodówkę. Po odśpiewaniu jej komuniści w celach urządzili pogadanki o znaczeniu święta pracy”.

1 Maja r. 1936

W tym roku robotnicy i chłopcy z Lubelszczyzny manifestowali swą wolę walki z faszyzmem w szeregach ludowego frontu. Tegoroczne pochody były liczne jak nigdy dotąd. W samym Zamościu wywleгло na ulicę ponad 15 tysięcy chłopów i robotników.

Podobnie w Chełmie Lubelskim ulicami płynęły jak lawina chłopcy i robotnicy pod czerwonymi sztandarami.

1 Maja r. 1937

Największą widownią manifestacji ludowych w dniu 1 Maja stał się Lublin. Również w tym dniu robotnicy w Lubartowie z chłopstwem okolicznych wsi wspólnie śpiewają Międzynarodówkę i zaciągają na karabinowe lufy sztandary z napisami: „KPP”.

1 Maja r. 1942—1944

Dni 1 Maja w latach okupacji stały się dniami wzmożonej mobilizacji klasy robotniczej i chłopstwa do walki z hitleryzmem. J. Wziętek tak wspomina te dni:

„1-go Maja organizowaliśmy rozbrojenie posterunków, wysadzanie pociągów, niszczenie słupów telefonicznych, sabotaże itp.”



Manifestacja na placu Teatralnym w Warszawie

Stanisław Szczerba-Orłowski opowiada:

„Uczczenie wielkiego święta majowego stało się u nas nieprzerpą koniecznością. Z inicjatywę członków PPR i przy pomocy AL urządziliśmy akademie, które odbywały się na dużych polanach leśnych lub też we wsiach (np. Majdan Ostrowski). Frekwencja była wciąż dość duża. W akademiach brało udział dużo członków AL, BCH i bezpartyjnych. Ochronę stanowiły grupy sowieckie i AL”.

Dziś święcąc w dniu 1 Maja nasze zwycięstwo — oddajmy hołd bojownikom rewolucji, którzy niezłomie walczyli o prawa ludu, o socjalizm.

Czesław Wójcik



STOLARKA

Jeśli wolno mi jeszcze marzyć,
Niech marzenie doda mi sił:
Chcę nauczyć się kunsztu stolarzy,
Muzyki hebla i pił.

Jakiś stary spocony majster
Ohebluje mi wołę na dąb,
Będę kornie gotował mu klajster,
Będę ostrzył na pile ząb.

Białą skórę na dłoniach wydrę,
Byle tylko stolarzyć wciąż,
Byle mordą stalową świdra
Wgryzać się w drzewny miąższ.

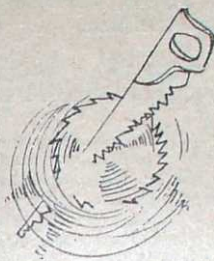
Może da mi wykończyć mebel:
Będę kliny zabijał do dziur.
Da mi w łapy okrzeplę hebel —
W arabeski zakręcę wiór.

Zabiegają mi ręce, zaskaczą
Wśród wiórów pachnących i drzazg,
A serce o pierś wykołaczę
Radosny murzyński jazz.

A gdy będę już robił sprawnie
(Rok upłynie — a może dwa)
Wykreślę z paszportu: prawnik —
Wpiszę dumnie: stolarz i drwal.

W artelu wesoło i tłumnie —
Zheblujemy za białem łożem
I w ogromnej drewnianej trumnie
Pochowamy umarły świat.

(„Trzy salwy”, Warszawa 1925)



Witold Wandurski

Alina Rybicka-Tomaszewska

O WOLNOŚĆ I GODNOŚĆ CZŁOWIEKA

Starzy hagiografowie zwykli opowiadać, że narodzinom ich bohaterów towarzyszyły niezwykłe zjawiska na niebie i ziemi. Nic takiego nie dało się zauważyć w majątku Prawda na Podlasiu, w ów dzień 1877 roku, w którym urodził się mały Jan. Było to tylko po prostu swego rodzaju rodzinne święto w domu dzierżawcy Józefa Hempla. Jak tu się nie cieszyć, kiedy na świat przychodzi pierworodny syn? Nikt, nawet najbliżsi nie wiedzieli jeszcze wtedy, jakimi drogami potoczy się życie tego maleństwa. Zyczyli

mu najlepiej — jak wszyscy rodzice swoim dzieciom. Wierzyli, że będzie dalej kontynuował tradycje rodzinne.

A były one nie byle jakie.

Dziadek Hempel, po którym mały Jan odziedziczył imię, był geologiem — „naczelnikiem górnictwa”, jak się to wtedy nazywało. Pracował w Dąbrowie Górniczej, gdzie dotychczas szyb „Jan” nosi jego imię. On to opracował pierwszą mapę geologiczną Polski.

O pradziadzie małego Jana, Joachimie Hemplu, żyły w rodzinie wspomnienia innego rodzaju, wspomnienia o bohaterze walk spod Wagram, Samosierry, Lipska, Smoleńska i Moskwy, w których brał udział wraz ze swoimi czterema braćmi. Opowieści o napoleońskim pułkowniku zapewne nie miały wpływu wywarły potem na kształtowanie się u wrażliwego chłopca pojęcia bohaterstwa i konieczności walki o wolność.

W rodzinie matki żywe były tradycje kulturalne. Dziadek Krzyżanowski — prawnik, niemal wydał dzieł prawniczych, a pradziadek — słynny w polskiej kulturze Feliks Bentkowski, był przecież redaktorem „Pamiętnika Warszawskiego“ i autorem „Historii Literatury Polskiej“.

Kim będzie mąż Jan?

Wbrew serdecznym życzeniom najbliższych życie Jana obfitowało w tragiczne chwile. Pierwszą tragedią dla czternastoletniego wówczas chłopca stała się śmierć matki. W domu oprócz niego były jeszcze trzy młodsze siostrzyczki. Ojciec ożenił się wprawdzie po raz drugi, ale wkrótce stracił majątek i dom Hemplów uległ całkowitemu rozbiciu. Dziećmi zaopiekowała się rodzina matki.

W taki sposób Jan, który chodził wówczas do gimnazjum rosyjskiego w Warszawie, znalazł się w domu wuja inżyniera Krzyżanowskiego, tego samego, który wraz z Anglikiem inż. Lindleyem był twórcą kanalizacji i wodociągów Warszawy.

Wuj Tadeusz miał zapewne najlepsze chęci wobec Jana, ale że był człowiekiem „praktycznym“ i „trzeźwo patrzącym na życie“, odebrał chłopca z gimnazjum i zapisał na kursy techniczne Stodolskiego w Warszawie. Jednak pomiędzy nim a synowcem nie było harmonii. Wuj, niesłyszanie ambitny i despotyczny, nie rozumiał i nie chciał rozumieć chłopca, którego niewiele obchodziło „dorabianie się“ i „kariera“, a który jednocześnie gorszył starszego pana straszliwymi herezjami wygłaszanymi na temat rodziny, religii, własności. Bo młodzieńkiemu prawnikowi Joachima Hempla paliły się w głowie marzenia o walce o osobistą wolność i godność człowieka. Wuj chciał złamać hardy i buntowniczy charakter chłopca, chciał z niego zrobić „normalnego“, przeciętnego człowieka, któremu do szczęścia wystarczają dobre stanowisko i dom postawiony na pewnej stopie.

Parę lat trwała nierówna walka. W tym okresie Jan po prostu pożerał książki, na które wydawał nieraz ostatni grosz. Pomimo bardzo młodego wieku pasjonował się najnowszymi kierunkami w filozofii, sztuce, nauce, literaturze. W tym czasie objawiły się u niego nawet skłonności do mistycyzmu.

Po czterech przykrych latach przeżytych w domu wuja, po jednej z ostrych scysji, Jan ostatecznie i konsekwentnie zerwał z rodziną matki. Miał wtedy lat 18.

Po chłopskich i pańskich polach chodzi młody „jeometra“ (przydały się warszawskie kursy Stodol-

skiego). Geometra, jak geometra. Niby taki jak każdy inny. Chodzi, dokonuje pomiarów. Dziwna jest tylko jego twarz: młoda, a pełna wielkiego bólu. Czy trochę jakby nieobecne od głębokiego zamyślenia. I dziwne jest jego zachowanie: „jeometra“ nie je mięsa, nie pije alkoholu.

Niedługo jednak trwa ta wędrówka pomiarowa. Jan decyduje się na przyjęcie posady u stryja, właściciela pieców wapiennych w Chęcinach.

Krzyk, przeraźliwy kobiecy krzyk rozpaczy bije w słoneczne niebo. A potem szum ludzkich głosów. Co się stało? Przed drzwiami długiego baraku wciśniętego między dwa tory kolejki dowożącej wapień z kamieniołomów do pieców, baraku, który służy za mieszkanie wielu rodzinom robotniczym, stoi straszna w swym bólu kobieta. Na rękach trzyma ciało dziecka zmiażdżone kołami wagonetek.

Jak upilnować, jak? Gdziekolwiek się ruszysz, wszędzie te przeklęte szyny i szyny. Drzwi nie zostawisz otwartych, bo zawadzą. Okna nie uchylisz, bo w jednej chwili biały kurz zasypie ci całą kłitkę, którą nazywa się mieszkaniem.

Biały pył zżera ludzi w kamieniołomach, gdzie nikt nie pomyślał o zapewnieniu im choćby prymitywnego bezpieczeństwa; przy piecach zionących straszliwym gorącem, w długim, wąskim baraku, zwanym przez wielu „domem“. Biały pył — to wróg nr 1. Kamieniołomy — to wróg nr 2. Ale jest jeszcze i wróg nr 3, zagrażający życiu robotników: w drodze do pieców, w pewnym miejscu, szyny, po których jadą pchane rękami ludzi wagonetki, przecina tor kolejowy. Miejsce to jest straszne. Tu najczęściej przewracają się naładowane wagoniki tarasując cały przejazd. Trzeba je podnosić, trzeba ładować od początku ciężkie złomy i drobniejsze kamienie pod ciągłą grozą — a nuż z za zakrętu wyłoni się pędzący pociąg?

Ludzie kaleczą się, chorują, umierają. Tragicznie niskie zarobki oplacają życiem. I w całym przedsiębiorstwie nie ma nie tylko lekarza, ale nawet felczera, który by z urzędu zajął się zdrowiem robotników. Bo któryż z nich może sobie pozwolić na taki luksus, jak leczenie prywatnie?

Jan patrzy na to wszystko. Jak żywo całą swą wrażliwą na krzywdę naturą widzi rozpaczliwą beznadziejność życia ludzi z baraku. Niesłyszany wyzysk budzi w nim bunt — tak dłużej być nie może. I... znów rodzinne scysje. Tym razem ze stryjem. I znów nierówna walka. Nierówna, bo czymże on w tej chwili jest? Samotnym, pokłóconym z całym możliwym światem młodym człowiekiem. „Zmarnowanym chłopcem“ — jak mówi o nim ze smutkiem wuj Krzyżanowski.

— Nigdy nie zapomnę o Chęcinach — myśli Jan już w pociągu uwożącym go w stronę granicy. Jedzie „na wojaż“. Ale jaki to tam „wojaż“, kiedy w chudej kiesce błąka się ledwie trochę zaoszczędzonych rubli. Jednak Jan ma tak skromne potrzeby, że...

Odtąd dnie są podzielone. W jedne szuka się jakiegoś zarobku (a to wcale niełatwe przedsięwzięcie dla cudzoziemca), w inne ogląda się wszystkie cuda sztuki najpierw w Europie środkowej, potem w południowej.

Co wykształciło w Janie wrażliwość na piękno? Może harmonijne tony, jakie wzbudzała matka w czarnym pudle fortepianu, gdy był jeszcze dzieckiem? A może ojcowskie skrzypce, przy których grze jako mały chłopiec zasypiał często?

Niełatwo jest jednak podróżować bez pieniędzy, choćby się najbardziej kochało sztukę i choćby najmocniej pociągały bogato wyposażone zagraniczne biblioteki. Któregoś dnia, w jednym z miast włoskich policja znalazła na ulicy omdlałego z głodu cudzoziemca. Odstawiono go do granicy Królestwa, skąd na piechotę powędrował do Ksan, do ciotki. Niedługo jednak korzystał z gościny tej mądrej, wyrozumiałej kobiety. Za namową kuzynów wkrótce zaangażował się do pomiarów technicznych przy budowanej przez Rosję na terytorium chińskim kolei żelaznej Charbin — Port Artur.

* * *

Do Charbina przyjechał Jan w okresie, kiedy rosyjski imperializm rządził się w Chinach nie tyle jak szara gęś, co raczej jak przemyślny, doświadczony drapieżca. Wprowadził nawet na pół zdziczałe oddziały swego wojska nominalnie „dla ochrony budowy



Car Mikołaj II podpisuje konstytucję 1905 r.
Przy nim minister Witte

kolei". Rozbestwieni żołdacy stali się panami życia i śmierci ołgicznych mieszkańców.

Ale który naród pozwoli bezkarnie mordować się i poniżać? Pewnego dnia znaleziono na drodze martwego rosyjskiego żołnierza, który przed kilkoma godzinami wybrał się do wsi „na spacer”. Odwet nie ograniczył się do tego jednego wypadku. Groza zawiąsała nad garnizonami, a cała prasa w Europie bębniła o Chunchuzach — tubylczych „bandytach” mordujących „rosyjską ochronę kolei”. — Wytępimy bandytyzm — oświadczył biały car i za każdego schwytanego Chunchuza wyznaczył nagrodę... 1 rubla. Teraz dopiero rozuhlali się żołdacy na dobre. Dlaczego przy okazji nie zarobić? Żołd lichy i wypłacany nieregularnie, a wódka w szynku, pocieszycielka samotnych, kosztuje. Rozpoczęły się więc formalne łowy na ludzi. Chwytano każdego, kogo tylko przy maksimum dobrej woli można było uznać za Chunchuza.

Szary, pokrawiony kłęb ludzi powiązanych za workocze i popędzanych razami nahałek ujrzał Jan po raz pierwszy na charbińskiej ulicy. Zdawało mu się, że oszaleje. Ze zgrozą i rozpaczą patrzył na przechodniów mijających obojętnie tę grupę poniżonych, umęczonych, porwanych bezprawnie. Przechodnie, cóż, zdążyli się już przyzwyczaić do widoków tego rodzaju. On, który tak nienawidził wszelkiego gwałtu i przemocy, nie potrafił nigdy patrzeć obojętnie na poniewieranego człowieka. W swoim bezkompromisowym poczuciu sprawiedliwości Jan solidaryzował się z Chunchuzami. Przecież występowali oni w obronie wolności swego narodu, w obronie jego godności.

Ekipa pomiarowa zamieszkała w ponurym domu z kamiennym podwórzem. W tym samym budynku nieścił się chiński sąd, który nie uskarżał się na brak zajęć. Codziennie, dosyć pobieżnie rozpatrywano sprawy „Chunchuzów”. Wyrok był zawsze ten sam: kara śmierci, którą wykonywano na kamiennym podwórzu. Skazańcy, obnażeni do pasa, klękali rzędem, a kat jakimś szerokim, średniowiecznym mieczem dokonywał egzekucji. Krew z kamień zmywano oczywiście wodą. A w szynku, którego okna wychodziły na to samo podwórze, przepijali „nagrodę” żołdacy.

W Janie wszystko wrzało. Dusił się po prostu od bezsilnego buntu. Znienawidził także swoich „kolegów” z ekipy, za bestialskie „zabawy”, jakie sobie urządzali. Sprowadzali chińską prostytutkę i zarykiwali się ze śmiechu patrząc na dziewczynę umierającą wprost ze strachu, jak w niej budziły tuziny myszy, które „białe diabły” puszczały na nią *).

Jan postanowił za wszelką cenę wynieść się gdzieś za miasto, zerwać z całą ohydą otoczenia. Ale gdzie tu się ruszyć? Jak każdy z „białych panów” miał swego służącego Chińczyka. Od niego dowiedział się, że za miastem, koło torów kolejowych stoi „dom śmierci”. Lęk wstrzymuje wszystkich żywych od zbliżania się do niego. Podczas ostatniej epidemii dżumy

*) Szczegóły z pobytu Hempla w Mandżurii zaczerpnięto z listów Tadeusza Głodowskiego do Wandy Hempel-Papiewskiej.

w 1900 roku pracowała w tym baraku ekipa lekarska. Od chwili, kiedy opuściła ona „dom śmierci”, noga żywego człowieka tam nie powstała. Nawiedzają go podobno tylko duchy. Krzaki obrosły barak, a między nimi bieleją spopielone kości z ciał tych, którzy pomarli od zarazy. A że Jan wołał dżumę i duchy od podłości i zezwierzczenia żywych ludzi, więc przezeń się obaj do „domu śmierci”.

Życie w osamotnieniu zbliżyło ich bardzo do siebie. „Służący”, którego Jan traktował jak towarzysza, nabrał zaufania do „białego”, a „biały” poznał całą nędzę i tragedię życia chińskiego proletariatu. Ta przyjaźń ze służącym uratowała Janowi życie.

* * *

Świat jest wielki, pełen ciekawych ludzi i zjawisk. Daleki Wschód kryje w sobie skarby mądrości. Ale jak tam dotrzeć? Jak zgłębić to? Znowu te pustki w kieszeni...

Ale i na to znalazła się rada. Wkrótce na jednym z okrętów handlowych pojawia się nowy pomocnik palacza. Pełni on też częściowo funkcję tłumacza. Rosyjski znał Jan świetnie, angielskiego nauczył się sam. Ale jak u większości ludzi zdanych wyłącznie na samouczki, posiadał raczej bierną znajomość języka. Wynikało z tego wiele zabawnych nieporozumień.

— Wiesz, Wandko — opowiadał potem najmłodszej siostrze — kiedy rozmawiałem z Anglikami po angielsku, cieszyli się bardzo, że język polski jest tak podobny do angielskiego.

Chiny, Japonia, Cejlon, Indie — oto frasa jego wędrówki. Tam też po raz pierwszy zetknął się z religiami Wschodu.

Już od wczesnej młodości Jan czuł wielką niechęć, a nawet odrazę do religii chrześcijańskich, które zalecały pokorę i „ubóstwo ducha” oraz sankcjonowały podział na władców i poddanych, wyklinając wszelki „bunt przeciwko opatrności”, przeciwko władzy, która przecież od Boga pochodzi. Podział tak wygodny dla możnych tego świata. Dlatego zachwyliły go poetyckie eposy świętych ksiąg bramińskich, w których odnalazł swoją idealnie pojmowaną dostojność i godność człowieka, o którą wiódł bój z całym światem, depreczającym i wyzyskującym słabych. Jan już dość dawno pozbył się wiary w Boga — panujące religie uważał jedynie za ogromną szansę, dzięki której można trzymają w szachu swych niewolników zwanych robotnikami, fernalami, pracownikami...

* * *

Genua. Tu kończy się podróż. Co dalej z sobą robić? W którą stronę skierować kroki? Wielkie afisze namawiają na wyjazd do Ameryki Południowej. Obiecują osadnikom życie bez troski, w dobrobycie, a nawet bogactwie. Łatwe życie nie pociąga Jana — on ma tak niewielkie potrzeby... Ale w Paranie skupiła się duża grupa polskich emigrantów. Decyduje się w jednej chwili: jada.

W Kurytybie wychodzi czasopismo „Polak w Brazylii”. Jego redaktorem jest przeraźliwie szczupły, ascetyczny młody człowiek — Jan Hempel. Ten sam pan redaktor jest nauczycielem w polskiej szkółce. Jakże ma nie być szczupły, kiedy żywi się tylko tym, co mu dzieci przyniosą w dwojczkach, jako zapłatę za naukę. A przecież wiadomo, że u emigrantów piszczy nie tylko bieda, ale często wprost nędza. Przy tym wszystkim pan redaktor, albo jak kto woli — pan nauczyciel, pisze pierwsze swoje dzieło, które musi być wydrukowane, musi dotrzeć do ludzi żyjących w beznadziejnym ucisku. Jest to niewielka książeczka, a nazywa się, żeby jakoś unieję była przyjęta: „Kazania polskie”.

* * *

Dyrektorem biblioteki im. A. Mickiewicza w Paryżu jest Władysław Mickiewicz — syn wielkiego wieszca. A skromnym bibliotekarzem zajęty przy katalogowaniu — Jan Hempel. Co wyrwało go z Kurytyby? (przeżył w niej sześć lat i jak sam mówi „zrzucił tam resztki szlachetczyzny”). Wyrwało go po prostu pragnienie wiedzy. Co sądzą inni ludzie o poglądach, które on uważa za słuszne?

Na uniwersytecie paryskim studiuje filozofię i kultury religijne, a że jeść nawet on, jarosz i abstynent, co jednak musi, pracuje w mickiewiczowskiej bibliotece za niewielkie pieniądze.

Studia utwierdzają go w jego wielkiej niechęci do religii chrześcijańskich i w sympatiach do braminizmu. W tym duchu zresztą pisze dalszy ciąg kurytybskich „Kazań polskich” — „Kazania Piastowe” i jest... anarchista. Ludzie uciskani przy pomocy rewolucji muszą zrzucić jarzmo, ale żadne partie socjalistyczne nie są do tego zdolne. Żyjąc na Zachodzie mało to się napatrzył na różnych zbiurokratyzowanych, a nawet skorumpowanych „socjalistycznych przywódców”?

— Jesteście tacy sami burzuje jak reszta. Wy też wykorzystujecie nędzę proletariatu dla własnych celów i tylko tyle on was obchodzi.

Marksizm? — Jan zna go wtedy dość powierzchownie i jednostronnie — suchy jakiś, według niego, zbyt mało rewolucyjny. Za bardzo ogranicza się tylko do teorii ekonomicznych i krytyki kapitalizmu.

Do Paryża przyjechał z kraju polski pisarz. Nazywa się Stefan Żeromski. Jedni mówią o nim z zachwytem, inni ze zgorszeniem. Jan nie bardzo ma czas szukać z nim kontaktu. Dopiero na uroczystości, kiedy bibliotekarz wygłosił mowę nad grobem Słowackiego, Żeromski z uwagą i sympatią spojrzął na nieznanego mówcę. Od tego dnia zaczęła się ich przyjaźń.

Co w kraju? Żeromski był pełen rewelacyjnych wieści. W kraju przecież wrze walka o oświatę, o wolność, o wyzolenie społeczne. Właśnie udało mu się w Lublinie zalegalizować radykalny odłam „Macierzy Szkolnej”, którą opanowali endecy. Nazwał to lubelskie towarzystwo oświatowe „Światłem”. Co poza tym? Dużo. Bardzo dużo. Opowieści wystarczy

na wiele spotkań. Jan był w Brazylii? Dlaczego nie napisał dotychczas o losach tamtejszej emigracji? Więc Jan pisze. Dużą, obszerną nowelę. Tylko gdzie to wydrukować? Oczywiście w kraju. Żeromski poleca mu „Kurier Lubelski” — radykalny, postępowy dziennik. Nowela zostaje wysłana. Przez dłuższy czas drukuje ją „Kurier” w odcinkach.

A właściwie to w ogóle dość już tej wędrówki. W kraju jest tyle roboty. Tylko w którym mieście osiąść? Żeromski radzi Lublin...

Jest rok 1910. Redakcja „Kuriera Lubelskiego”, „Światło”, stowarzyszenie abstynentów „Przyszłość” — tam najczęściej można zastać Jana Hempla, jeżeli ktoś chce się z nim zobaczyć. A takich wielu. Przede wszystkim „uczniowie” z „Przyszłości”. Czym był dla nich?

„...Po objęciu redakcji „Kuriera Lubelskiego”, Hempel natknął się na grupę młodzieży, która już wtedy dyskutowała zagadnienia społeczne i religijne, a nawet wydawała w kilku egzemplarzach swoje pismo” — pisze w swoich wspomnieniach o Hemplu Józef Dominko — „Wśród tego grona był Bolesław Bierut i niżej podpisany (Dominko — przyp. A. T.). Oczywiście dla nas, chłopców — terminatorów rzemieślniczych, czy początkujących rzemieślników, Hempel — redaktor, autor książeczek, człowiek, który zwiedził większą część świata, był objawieniem i mistrzem, czuliśmy dla niego niewysłowioną wdzięczność, szacunek i cześć. Wszystko, czego nas nauczał, z góry akceptowaliśmy. Zresztą jego nauki były tak wzniosłe i piękne. Pod jego wpływem wzmożła się praca samokształceniowa w opanowanym przez naszą grupę oddziale Towarzystwa Abstynentów „Przyszłość”, pojawiło się pismo hektografowane na miejsce dawniej z wielkim trudem ręcznie przepisywanego.

Praca powyższa nie wyczerpała całej młodzieńczej energii „hemplowców”. Część z nich zaangażowała się do partii socjalistycznych, część przygotowywała się do powstania w organizacji strzeleckiej. Były też próby bojkotu instytucji kapitalistycznych. Tak więc zimą 1911—1912 roku organizowaliśmy „wspólne zakupy” dla naszych rodziców, sprowadzając towar w jednostkach hurtowych i dzieląc go między siebie po cenach własnych. To był niewątpliwie nieświadomym jeszcze prototyp Lubelskiej Spółdzielni Spożywców...”

Pomimo różnicy wieku między Janem i „hemplowcami” oni także w jakiś sposób wpływali na kształtowanie się jego poglądów na sprawy świata. Łączyło ich mocne konsekwentne postępowanie, szczerłość i radykalizm społeczny. Dzięki zetknięciu się z młodzieżą robotniczą i rzemieślniczą Jan spojrział na życie oczami socjalizmu.

W Lublinie, do którego zjechał z dalekiego świata, spotkała Jana niespodzianka natury rodzinnej. Spotkał tu swoją siostrę Wandę, o której od dawna, to jest od chwili zerwania z rodziną nie miał żadnych wieści. Początkowo odniósł się do niej nieufnie:

żona inżyniera? Kto wie, czy nie pani z burżuazjскими nawykami. Ale nieufność rozwiązała się szybko. Młodziutka wówczas Wanda Papiewska zdążyła już być delegatką wszystkich warszawskich szkół zawodowych do komitetu strajkowego w 1905 r., zdążyła już zorganizować (też w Warszawie) klub inteligencji socjalistycznej oraz odsiedzieć areszt za kolportaż nielegalnej prasy i być wydaloną na pewien czas z granic Królestwa Kongresowego. Toteż nieufność szybko znikła. Tym bardziej, że wkrótce oboje wzięli się do ogromnego dzieła: organizowania robotniczej kooperatywy — Lubelskiej Spółdzielni Spożywców, która długo potem, aż do drugiej wojny światowej była „czerwoną solą w oku” wszelkich władz.

Janowi prawie zawsze świetnie szła praca społeczna. O wiele gorzej przedstawiała się sprawa pracy zarobkowej. A wszystko dlatego, że pomimo dojrzałego wieku nie opuszczał go młodzieńczy zapał przy wprowadzaniu w życie bez ogródek swego zdania. Narobił sobie niemałe biedy drukując swoje antyreligijne prace. Niesłychaną wrzawę wśród lubelskiej kołtunerii wywołał jego artykuł o pielgrzymkach częstochowskich. Władze carskie wytoczyły mu proces i skazały autora na dwa lata twierdzy. Korzystając z powolności procedury sądowej Jan apelował, uzyskując przez to spokój na jakiś czas.

Rychło doszło też do zerwania z redakcją. „Kurier Lubelski” był wprawdzie bardzo postępowym pismem, ale... A właśnie Jan nie uznawał żadnych „ale”. Żelazna konsekwencja. Przekonajcie mnie, że moje poglądy są niesłuszne, wówczas ustąpię. Starć było niemało. Przysłowiową „ostatnią kropką” stały się zatargi robotnicze w 1912 r. Jan uważał, że w walce z kapitałem słuszność zawsze leży po stronie robotników (dobrze pamiętał przecież Chęciń, Charbin, swoją pracę palacza na statku i osadników w Paranie). Tymczasem wydawcy „Kuriera” chcieli każdy zatarg badać osobno i nie traktować go jako ciąg walki o wyzwolenie społeczne, tylko jako poszezególny, sporadyczny wypadek.

I znów po polach, tym razem Lubelszczyzny, chodzi mierniczy o niezwykłym sposobie życia. Ale teraz nie jest już sam. Ma pomocnika — jednego ze swych najbliższych „uczniów” — Bolesława Bieruta. Mają o czym rozmawiać. Tematów nie brakuje.

Jest rok 1914. Jan ma do wyboru: albo iść do więzienia, albo uciekać za granicę, bo tymczasem uprawomocnił się wyrok za ten „obrazoburczy” częstochowski artykuł. Oczywiście wybiera to drugie. „Za granicą” też jest Polska. Np. Kraków. A Kraków jest wtedy bardzo c. k. i bardzo „strzelecki”, bo właśnie wybucha wojna. A na wojnę wyrusza polska formacja. Zaszumiły białe-czerwone chorągiewki, jak w rodzinnych legendach o pradziadzie Joachimie. Więc i Jan przybiera siwy mundur, aby walczyć o wolność. Tylko że właśnie okazało się, że ta „wolność” — to sprawa trochę problematyczna, no i trzeba się wiazać przysięgą, że będzie się zawsze dążyło do podpierania spróchniałego, hab-

sburgskiego tronu. Odnośnie władze musiały więc bardzo szybko internować Jana do Czech, skąd „drapnął” przy pierwszej okazji, jaka się nadarzyła, z powrotem do Lublina. Przyjechał bogatszy o nowe doświadczenia. W kilka dni potem otrzymał legitymację partyjną jako zdecydowany członek PPS-lewicy.

Tymczasem Lubelska Spółdzielnia Spożywców stała się wielkim przedsiębiorstwem, a wojna zapędziła do Lublina Marię Dąbrowską, Marię Orsetti, Jana Łazowskiego, Oktawiana Zagrobskiego i innych postępowych działaczy.

Sklepiki nigdy nie były dla twórców LSS zasadniczym celem istnienia kooperatywy. Chodziło o sprawy większe: marzyło im się, że stopniowo spółdzielnie przejmą w swoje ręce duże przedsiębiorstwa i wszystkie środki produkcji. Powstanie nowa „rzeczpospolita spółdzielcza”, w której konsumentem i producentem będzie proletariat. Bezkrwawa, a potężna rewolucja.

Ale do tego trzeba spółdzielców wychować. Muszą być świadomi. Włęcz grupa działaczy z Wandą Papiewską i Janem na czele organizuje pierwszy w Polsce wydział społeczno-wychowawczy w spółdzielni. Powstaje biblioteka i czytelnia („przedszkole komunizmu”, jak je później nazwą sanacyjni władcy). W wynajętej sali odbywają się odczyty.

Jan pracuje w tym okresie bardzo dużo. Spółdzielczość i socjalizm — te dwa słowa stanowią dla niego

nierozłączną całość. I pierwszy w Polsce ustala, że „Spółdzielczość robotnicza jest częścią klasowego ruchu najmitów zdążających do socjalizmu”.

„Socjalista” — to słowo brzmi dla niego tak dumnie, jak co najmniej tytuł księcia dla feudałów. „Socjalista” — aby nosić tę nazwę, trzeba żyć według zasad socjalistycznych. Jan jest jak zwykle bezkompromisowy. Tym, którzy przez brak umiarkowania w zaspakajaniu swych nałogów czy sobokostwo są tacy sami jak beżmyślny ogół, odmawia zaszczytnego miana socjalisty. Bez względu na to, że są to nawet... niektórzy przywódcy partyjni. „Burzycielami mogą być tylko ci — pisze w swojej broszurce pt. „Socjalizm odrodzony” — „którzy w sercach swych zło zburzyli i nowe świątynie wyhodowali, którzy zdolni są wschód słońca nowego dojrzeć i ukochać... Znaczy to, że wszelkie działanie i wszelką przemianę społeczną, od siebie samego zaczynać winieneś. Sam w sobie zaprowadzaj nowy ład, bo — wierz mi — mnóstwo przyżytków i barbarzyństwa zwierzęcego jest w tobie...”

Warszawa. Istnieje już rząd polski. I faktem dokonany stała się Wielka Rewolucja Październikowa. Do zenitu dochodzą antagonizmy międzypartyjne. Przerzucają się one także na ogólno-krajowy teren spółdzielczy. Jan jest członkiem Komunistycznej Partii Polski i członkiem zarządu ogólnopolskiego Związku Robotniczych Spółdzielni Spożywców, razem z Bolesławem Bierutem, Stanisławem Szwalbe i Stanisławem Tołwińskim. Okres to burzliwy — okres ścierających się prądów i wielkich nadziei związanych z rewolucją. A potem trzeba odejść z ZRSS. Na pełnym awantur zjeździe w czerwcu 1921 r., w atmosferze aresztowań delegatów, usunięto z władz całą lewicę.

Pozostaje praca publicystyczna. Jan redaguje „Miesięcznik Literacki”, „Kulturę Robotniczą”, „Głos Robotniczy”. Pisze w nich pod pseudonimami: Krasnodębski, Szymański, H. Janowicz. Pisze też mowy nielicznym komunistycznym posłom na sejm, zbiera materiały. Należy do władz KPP i jest gorącym oraz jak zwykle bezkompromisowym wyznawcą idei komunistycznej.

Stworzył też sobie dom rodzinny: żona i dwóch pasierbów, których kocha jak własnych synów.

Zaczyna się w życiu Jana okres aresztowań i więzień: rok 1924, 1931...

*„Siedzę z Janem w trzynastej celi
na Ratuszu, pośrodku miasta,
trzy dni temu razem nas wzięli,
posadzili, trzymając i basta...”*

Tak. „Wsypa” była jak się patrzy. Komunistyczne zebranie literackie. „Nakryli”. Wzięli dziewięć osób.

*„Na podłodze sen nasz nielekki,
zupę dali, że pies jej nie zje,
Jana chroni pancierz dialektyki,
mnie leciutki oblok poezji...”*



Jan Hempel, r. 1916—17

Kogo to tak broni ten „leciutki obłok poezji”? Młodego poetę Władysława Broniewskiego. Siedzi tu także Watt i bodajże Stawar.

*„Ja — cóż? Gwizdać! Siedzę od piątku,
mogę siedzieć tak choćby miesiąc,
ale Jan ma katar żołądka,
no i lat bez mała sześćdziesiąt,*

*trzeba jego hartu i woli,
żeby ważyć to sobie lekce,
no bo człowiek, gdy go brzuch boli,
zapomina i o dyalektyce...”*

Za wszelką cenę uwolnić Jana! To więzienie może go zabić. Jest przecież chory. Którędy znaleźć drogę do prokuratora? — Oczywiście przez Stefanię Sempołowską, anioła opiekuńczego więźniów politycznych. Prokurator żąda 1000 zł. kaucji za wypuszczenie do czasu rozprawy sądowej. Tysiąc złotych — to bardzo wiele. Z trudem zdobywa je Wanda Papiewska.

Obie z żoną Jana czekają w przedsiönku więzienia.

„Wyklęty powstań ludu ziemi...”

— Co to?

„powstańcie, których dręczy głód...”

— biegnie od celi do celi. Całe więzienie aż huczy. Niespokojnie zaczynają biegać strażnicy. Do przedsiönka wchodzi Jan. Na pożółklej twarzy uśmiech i ogromne wzruszenie.

*„Bój to będzie ostatni,
krwawy skończy się trud...”*

— żegnają wychodzącego na wolność Jana towarzysze pozostali w celach. Nie wiedzieli, że to ostatnie ich pożegnanie z Janem.

* * *

— Ucieka!

Więc przez Berlin i Gdańsk, przemytniczą drogą komunistów do Moskwy. W miesiąc potem, jadąc tą samą drogą, była już z nim żona i pasierbowie. Zamieszkali pod Moskwą w Posiołku Starych Bolszewików. Warunki mieszkaniowe były dosyć trudne, ponieważ dom był kiedyś „daczą”, tzw. domkiem letniskowym. Ale Jan nie narzekał. W serdecznych listach, jakie pisał do Wandy Papiewskiej, było wiele entuzjazmu, podziwu i uznania dla ludzi radzieckich, dla stających się ciałem marzeń o rewolucji.

— Jan zarabiał dobrze. Zajmował się pracą literacką. Pisywał do „Za rubieżom” do „Trybuny Radzieckiej” i „Bezbożnika”. Tłumaczył na język polski 6-tomowy wybór dzieł Lenina. Pisywał recenzje z polskich książek, które przysyłała mu siostra. Śmiały się często bibliotekarki z LSS-owskiej biblioteki, że książka z Moskwy od Jana Hempła często szybciej wraca niż od czytelnika-przetrzymawca z Lublina.

* * *

Rok 1934 przyniósł ze sobą aresztowania wśród moskiewskiej Polonii. Do głowy mu nie przyszło nie-

pokoić się o siebie. Życie swoje, zdrowie, umysł — wszystko oddał Partii na służbę wielkiemu dziełu i wierzył niezłomnie w słuszność jej działania.

Partia jest wielką mądrością narodów i wie, co robi.

Cała tragedia polegała na tym, iż Jan nie wiedział, że areszty są dziełem nie Partii, ale tylko dwóch ludzi, z których jeden wietrzył wszędzie wrogów swojej wielkości, utożsamiając ją z interesami klasy robotniczej, a drugi umiejętnie w nim ten strach podsycał, ciesząc się swoją rolą.

Ostatni list Jana do siostry, Wandy Hempel-Papiewskiej, nosi datę 10 stycznia 1937 r. Od tego czasu głucha cizna. Przed wojną 39 roku radio ryskie nadało wiadomość, iż Hempel został stracony.

W tymże czasie w Lublinie toczył się proces młodzieży komunistycznej. Rozplakatowano wielkie afisze o straceniu Jana Hempła.

Siostra nie wierzyła. Nie mogła wierzyć, na zebraniach robotniczych zaprzeczała tym wiadomościom, a jednak przepadł bez wieści... zginął o wiele za wcześnie w tragicznej pomyłce dziejowej najuczciwszy, najszlachetniejszy, ukochany przez wielu człowiek, utalentowany pisarz-mówca, aktywny płomienny komunist.

* * *

Oprócz żywych, gorących uczuć w sercach ludzi, którzy się z nim zetknęli, pozostała po Janie Hemplu spuścizna publicystyczna. Można ją podzielić na kilka rodzajów: prace omawiające zagadnienia religijne i etyczne, prace poświęcone ruchom społecznym, spółdzielczości oraz szkice literackie i recenzje.

Do bardzo ciekawych prac należą jego dwa pierwsze dziełka, poświęcone zagadnieniom religijnym i etycznym. Są to wydane w Kurytybie „Kazania Polskie” (r. 1907) oraz dalszy ich ciąg „Kazania Piastowe” (pisane w Paryżu, wydane w Bielsku w 1912 r.).

„Kazania Polskie”, odbite na hektografie, zadedykował: „Młodzieży polskiej, polskim partiom rewolucyjnym i wszystkim bojownikom Życia i Wolności”. W obu książeczkach Jan Hempel występuje przeciwko religii chrześcijańskiej — religii poniżenia, przemocy i podeptania godności ludzkiej. „...Mściwy, zły i głupi na tronie zasiadł władca” — precyzuje swój pogląd na chrześcijańskiego boga w „Kazaniach Piastowych” (str. 3—4) — „Szeregami uskrzydłonych otoczył się słuźalców, kadzidla na cześć swoją zapalić kazał — i sycił się pychą własną. Nie starczała mu jednak ciągłych hymnów jednostajna muzyka; nudził się i nie dość wielki się czuł.

— Kogo by poniżyć? — obejrzał się Pan — i wnet śledcze oko jego w sercach chóru sług skrzydlatych iskrę samodzielnosci wykryło.

— Są buntownicy! — zawołał radośnie. Mam kogo deptać, mam słabych, na których wykazać mogę pańską mądrą władzę.

I na buntowników wypuścił sług sfory, wściekłych z nadmiaru wierności.

Padły buntownicy — i w bezden straciła ich radosna
zwyściąstem stopa władcy.

— Czym nie wielki? — zagadnął Pan skrzydlate
zastępy.

— Zaiste, wielkość i potęga twoja granic nie ma
— chórem wrzały niewolniki i do stóp pańskich przy-
padły. A pan łaskawie nogę na karkach ich stawil —
otom wielki, otom wielki — powtarzać i powtarzać
se kazal.

Spojrzyjcie na wszystkich bogów — władców od
czasów pradawnych do dnia dzisiejszego, wszędzie
znajdziecie tę samą pychę głupiego despoty, to samo
wynoszenie się kosztem poniżenia swych sług czy
wyznawców...

Zupełnie inaczej przedstawia świat prastłowiański,
pełnych godności wolnych Ariów, niezających pana.
Są oni szlachetni, gościnni, równi, szanujący się na-
wzajem. W obu księżeczkach brzmi nawoływanie do
powrotu do starej, aryjsko-prastłowiańskiej etyki
i obyczajów.

„Kazania“ kończą się nawoływaniem do bohater-
skiego życia. Autor przeciwstawia to życie biernemu
oczekiwaniu na mesjasza: „...Mesjasz napawa pogardą
dla Człowieka, który sam ze siebie lichy jest i nic nie
może. Bohater pierś uczuciem godności podnosi, dając
odczuć, że nic nie może być piękniejszego i dostoj-
niejszego, niż Człowiek jest...“

Do prac antyreligijnych zaliczyć można jeszcze
„Za co Jezus był ukrzyżowany?“ — wydane w War-

szawie w 1919 r., „Dziesięcioro przykazań boskich“ —
Warszawa 1923 i szereg innych drobnych broszurek.

Osobną pozycję stanowi „Bohaterska etyka Rama-
janya“, wydana przez przyjaciół autora w Lublinie
1914 r. Jest to streszczenie i komentarz do starego
bramińskiego eposu o bohaterskim i szlachetnym Ra-
mie. „Bohaterska etyka Ramajany“ była pomyślana
jako pierwsza część studiów etycznych. Dalej miały
iść: „Niewolnicza etyka Hioba“, „Erotyczna etyka św.
Teresy“, „Altruistyczna etyka legend buddyjskich“,
„Niesamowita etyka księgi“, „O naśladowaniu Chry-
stusa“ i wreszcie „Społeczna etyka dnia wschodzące-
go“.

Do prac o stosunkach społecznych zaliczyć można
„Socjalizm odrodzony“ (Lublin 1916 r.), „O ludziach,
którzy czymś są i ludziach, którzy coś mają“ (War-
szawa 1920) i szereg innych.

Większość prac Jana Hempla jest rozsypana po róż-
nych czasopiśmiech polskich i radzieckich, które redagował,
bądź z którymi współpracował. W roku przysz-
łym wypada dwudziesta rocznica jego śmierci. Należałoby
ją uczcić zebraniem i wydaniem jego dzieł, aby
nie zaginęła w niepamięci szlachetna i mądra myśl
człowieka, który przez całe życie walczył o wolność
i godność ludzką.

Alina Rybicka-Tomaszewska

Pani Wandzie Hempel-Papiewskiej za udostęp-
nienie materiałów, między innymi listów Tadeu-
sza Głodowskiego, składam najserdeczniejsze po-
dziękowanie.
A. T.

Tadeusz Chabros

„MIĘDZY HISTERIĄ A PRAWDĄ REWOLUCJI“

Wracając często myślą do ostatniej sesji Rady
Kultury, stwierdzam, że klimat jej, zdrowy i twór-
czy, w zasadzie nie zaskoczył mnie wcale: już po
XX Zjeździe KPZR popłynęła przez nasz kraj
szeroką falą wielka dyskusja prześwietlająca nie-
mało ważnych, niekiedy bardzo bolesnych spraw,
dotąd przemilczanych.

Dziś zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, jaką
olbrzymią wagę ma jawna krytyka popełnionych
błędów. A jednak muszę przyznać, że w miarę
zagłębiania się w lekturę głosów dyskusyjnych,
które padły na sesji, zaczęły budzić się we mnie
 pewne wątpliwości. Na wątpliwości złożyły się
dwie przede wszystkim sprawy: jedna — to punkt
wyjścia krytyki, druga zaś to absolutna, bez reszty
prawie negatywna ocena minionego okresu.

Niesposób dziś, rzecz jasna, hamować krytyki,
zbyt cenna to broń, abyśmy ją mieli stępić zaraz
na początku walki. Ale niesposób również nie
zwrócić uwagi na ton pewnych przemówień na
sesji, które czasami, wbrew chyba nawet inten-
cjom swoich autorów, nabierają innego sensu niż

zamierzony. Tak się bowiem stało, że pewni dy-
skutantci w ferworze swoich wystąpień zapomnieli
o głównej sile, która wyzwoliła ten cały zdrowy
ferment, przeżywany przez nas obecnie, zapomi-
nieli o partii. Działacze ci i twórcy, czasami na-
wet członkowie partii, słusznie krytykując popeł-
nione błędy, czynili to z pozycji spoza — a nawet
ponadpartyjnych. Bo czyż można ocenić inaczej
głosy, mówiące w obliczu XX Zjazdu i naszego
III plenum o pisarzach czy innych artystach jako
o tych, którzy pierwsi dostrzegli błędy i zabrali
się do ich naprawy. Mało tego — hamować te po-
czynania „artystycznej awangardy“ miała niby to
właśnie... partia.

Przecie dzisiaj, szczególnie dzisiaj, gdy pod-
dajemy krytyce to, czym żyliśmy dotychczas, gdy
wytworzony został podatniejszy niż kiedykolwiek
grunt dla oddziaływania obcych ideologii na ludzi
o niezbyt jeszcze mocno skryształizowanych poglą-
dach, każdy marksista, a zwłaszcza marksista pi-
sarz czy artysta, bardziej niż kiedykolwiek powin-
ien czuć swój związek z partią.

Druga sprawa, o której chciałbym mówić, to, jak już wspominałem, owa absolutnie negatywna ocena minionego okresu. Nie jestem przeciwnikiem krytyki surowej i niepołowicznej. Nie mogę się zgodzić tylko z tym, jakoby całe minione dziesięciolecie było wielką czarną plamą na naszym życiu, straszną apokaliptyczną nocą, której nie rozjaśnił żaden jaśniejszy promyk. No, cóż, uważam, że XX Zjazd to nie rewolucja, jak chce Bieńkowski, ale ciąg dalszy rewolucji, że nasze dziesięciolecie to nie tylko — jak chce Słonimski — prześladowanie każdej myśli i nietolerancja, strach i smutek, lęk i cynizm, ale także okres wielkich przemian i zdobyczy, które dokonały się mimo wszystkich wypaczeń i błędów tamtych lat, okres wartości, które pomimo wszystko nie dadzą się dziś przewartościować.

Wydaje mi się, że po okresie wszechchwałstwa wpadliśmy w epokę wszechpotępienia. Raziły mnie przedtem słówka „naj“ przylepione w sensie superlatywu do wszystkiego, co się u nas działo w naszym życiu polityczno-społeczno-kulturalnym, razią mnie teraz te same słówka jako stopień wyrażania negatywów. Odnoszę chwilami wrażenie, że jedną z głównych naszych cech narodowych jest właśnie owa krańcowość sądów.

Zgodziliśmy się już wszyscy, że owa krańcowość w przeszłości przyniosła nam wiele zła, baczmy na to, aby i teraz, w okresie naprawy, nie zaszkodziła klarowności obrazu. Bo nawet w tych najbardziej skomplikowanych cechach minionego okresu, jak na przykład owa nieszczęsna etapowość naszej kultury, można się doszukać pozytywnych stron. Całe zło „etapów“ polega nie tyle na tezach w nich zawartych, ile na długości ich trwania.

Ironicznie mówi Kott o natrętnym doszukiwaniu się wpływów środowiska drobnomieszczańskiego, o odzywaniu koncepcji WRN-owskich, o niebezpieczeństwie pojawiania się prawicowego odchylenia. I rzeczywiście, dziś w latach 1955—1956 prawicowe odchylenie możemy potraktować per „straszak“, ale czy było ono tylko straszakiem w latach 1948—1949? Wydaje mi się, że wtedy można było o tym mówić jako o najprawdziwszym niebezpieczeństwie.

Tezy realizmu socjalistycznego — to zdaniem Słonimskiego „precyzyjne narzędzia do niszczenia sztuki“. Pomijając tutaj sprawę słuszności tego sformułowania, chcę tylko wskazać, jakie są na fali wszechkrytycyzmu możliwości rozwojowe tej definicji. Muszę znów wrócić do referatu Kotta. Kott mówiąc o fałszywości teorii mechanicznego rozwoju sztuki w społeczeństwie socjalistycznym stwierdza m. in.: „Teoria ta... wprowadzała hierarchię „realizmów“, w której królował jako naj-

bliższy realizmu socjalistycznego dziesiętnasto-wieczny realizm krytyczny“. Otóż wydaje mi się, że ustosunkowanie się w takim kontekście do realizmu, który ostatnio przyzywaaliśmy się nazywać krytycznym, prowadzi do podważenia i jego wartości. Wszechkrytycy gotowi są potępić go za samą bliskość chronologiczną z naszą epoką. Nie są to tylko moje przewidywania. Ukazały się już w lubelskiej prasie („Kultura i Życie“ Nr 13/190) jako reperkusje posesjowe nawoływania niektórych naszych pseudomarksistów do wyrugowania z naszych scen dzieł realizmu krytycznego. Apodyktyczność i nieprzemyślenie niektórych ocen to niebezpieczna rzecz...

Różni ludzie brali udział w kształtowaniu oblicza kulturalnego naszego dnia wczorajszego. Więcej było tych, którzy, będąc szeregowymi członkami partii, wierzyli wszystkiemu na słowo. Ale nie brakowało i takich, którzy, nie wierząc w to, co robili, uzasadniali niesłuszne posunięcia w dziedzinie sztuki. Myślę przede wszystkim o pierwszych, gdy czytam niektóre wypowiedzi z sesji Rady Kultury i Sztuki. Dla tych ludzi rewelacje związane z tzw. kultem jednostki i tak już były ciężkim przeżyciem, nie pogłębiajmy ich rozterki i bólu malowaniem na czarno i tych spraw, które czarne nie były. Komu jest potrzebne całkowite potępienie minionego okresu? Apelujemy w tej chwili o odkrycie całej prawdy w sensie odkrywania wszystkich dokonanych błędów. Wydaje mi się, że całą prawdę poznamy nie wtedy, gdy dowiemy się tylko o błędach, ale wtedy, gdy wraz z błędami będziemy znać i osiągnięcia. Odnoszę takie wrażenie, że minione dziesięciolecie zostało potraktowane na ostatniej sesji Rady Kultury zbyt jednostronnie, zbyt jednokierunkowo, bez uwzględnienia całej złożoności procesów, które się wówczas działy.

Chciałbym jeszcze raz podkreślić, że nie nawołuję do ograniczania krytyki, ani do stosowania jej w jakichś określonych proporcjach. Krytyka ograniczona proporcjami — to krytyka ograniczona w ogóle. Te kilka uwag, które poczyniłem powyżej, są tylko wyrazem zawodu, jaki sprawiła mi sesja Rady Kultury niepełnością oceny minionego okresu.

Chodzi o to, abyśmy właśnie analizowali, chodzi o to, aby krytyka nie wpadała w ton hysterii. Wtedy odnajdziemy prawdziwą wielkość naszych czasów, rzeczywistą ich prawdę. Nie jest to sprawa łatwa. Drogę do lepszej przyszłości wskażą nie ci, co dziś najgłośniej krzyczą — może ją wytyczyć nam własne sumienie i partia.

Tadeusz Chabros

Włodzimierz Majakowski

STRASZNE PAPIERY

(Przeżycie Włodzimierza Majakowskiego)

Przełożyła MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

Gdybym
trzymał
w palcach
ziemi wodze,
zahamowałbym
pęd jej
na chwilę:
— Stop!

Słyszysz,
pióra
wieczne i zwykłe
zgrzytają srodze,
jakby

zębami zgrzytał
ziemski glob?
Dumo człowiecza,
wyznaj kornie klęskę!

Ludziska te —
co który z nich wart!

Człowiek
stopniowo
staje się kleksem
na obszarach papierowych
urzędowych
kart.

Cienie ludzkie
po komórkach
się gnieżdżą.

Człowiekowi —
trzy metry.
A papierkom?
Raj!

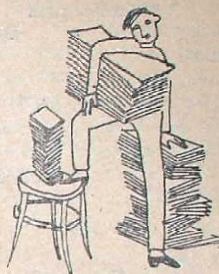
Rezydują papierki
w pałacach urzędów,
stoły zaległy,
szafy im daj.

Rośnie
w sklepie tekstylnym
ogonek,
noga bez buta,
rękawiczek brak.

A papierki?
Dla nich
obwolut miliony,
teczek zatrzęsienie
dla cielska „spraw“.

Czy na podróże
masz ty
pieniądze?

Byłeś w Madrycie?
Nie byłeś. Gdzie!



A dla wojaży
 papierków
 po morzu i lądzie
 nowy
 gmach poczty
 w górę się pnie!
 Ludzi dawniej mocnych
 w spinacze skręciło,
 zastąpiły instrukcje
 rozum sam.
 Ludzie się uwijają
 jak gońcy —
 aż miło!
 Trzyma ich
 w swej służbie
 papier — pan!
 Ledwo się
 papierzyska
 w tece mieszczą,
 szczyrzy margines
 białe kły.
 Wkrótce nam
 papiery
 wtargną do mieszkań,
 a nas
 do tek
 wyeksmitują z nich.
 Widzę
 w przyszłości —
 to nie wymyśl mój dziwaczny.
 tuby papierów
 ryczą o tym w krąg —
 będzie papier
 przy stole
 herbatą się raczył,
 człowieczek —
 pod stół legnie,
 zgnieciony w kłęb.
 Ech, rozwinąć sztandary płomienne,
 pociskami zawyć, wzniecić buntu ruch!
 Proletariuszu,
 każdy cał
 papierów zbędnych
 tnij
 zębami na miązgę,
 bo to — też twój wróg.

1927 r.

Przełożyła Maria Bechzyć-Rudnicka



PODAJCIE MI POMOCNĄ DŁOŃ

„...Ostre to było cięcie. Bez znieczulenia bolącego miejsca, bez dawki środków nasennych przeprowadzono tę operację. I dlatego nie dziwicie się, towarzyszu, że czuję ostry, piekący ból. Jakże ja jego Kocham...”

Wskazał ręką na gabinet, w którym nad biurkiem Sekretarza KP wisiał portret Stalina.

„...Jak uważacie, czy za kilka miesięcy nie będziemy odwoływać tego, co dzisiaj się mówi? Wielu aktywistów tak właśnie sądzi. Oczywiście po cichu, między sobą. Nikt z nas nie chce za wcześniej zdradzać się ze swymi myślami...”

„Powiedzcie mi, co myślicie o tym. Przecież w ciągu wielu dni, jakie składają się na mój dziesięcioletni staż partyjny, zawsze mówiliśmy o konieczności kolektywnego działania, o samodzielności, o obowiązku myślenia. Prawda, że wysławialiśmy imię Stalina ponad ludzką miarę, ale nie zaprzeczacie, że mimo to zasady te obowiązywały...”

Nie. Nie zaprzeczyłem swemu rozmówcy. Dla nas wszystkich, którzy umiłowaliśmy sprawę postępu, imię Stalina przedstawiało właśnie ten postęp, imię to skupiało w sobie wszystkie elementy tego, co nowe, szlachetne, warte największego poświęcenia. I dlatego tak trudno dyskutować na ten temat. I dlatego nie mogłem znaleźć odpowiedzi na wszystkie wątpliwości swego rozmówcy, na wszystkie wątpliwości, jakie zrodziły się we mnie. Trudna to dyskusja. To jak gdyby ciągła zmiana bandaży na świeżo zoperowanym miejscu. Ale ten bandaż zmienić trzeba. Po to, by chory szybciej wrócił do zdrowia, szybciej stał się zdolnym do aktywnej walki i pracy.

„...Studiowałem dokładnie uchwały XX Zjazdu KPZR. Od tamtego czasu przeczytałem wiele artykułów i... uwierzcie mi, w dalszym ciągu nie wszystko jest dla mnie jasne. Na zebraniu naszej Podstawowej Organizacji Partyjnej nie dyskutowaliśmy jeszcze materiałów XX Zjazdu, nie było polecenia z KW ani z KP, nie mogłem więc własnych spostrzeżeń skonfrontować ze zdaniem ogółu. A ja w ciągu mej pracy partyjnej nauczyłem się patrzeć oczami ogółu... Może to brzmi paradoksalnie — teraz, kiedy tak dużo mówimy o „kolegialności”, ja stwierdzam, że nauczyłem się tej kolegialności w minionym okresie? Jak myślicie?...”

Patrzyłem na mego rozmówcę. Średniego wzrostu, oczy siwe, skryte pod krzaczastymi brwiami, twarz pociągła... Zwykły człowiek, jakich spotkać można nie tylko w Lubartowie, ale i w każdej innej miejscowości.

To nie on mówił. To moje drugie „ja” odzywało się jego ustami. To jest zdanie wielu, wielu członków Partii. A on ciągnął dalej:

„...Gdzieś w górze rozpętała się istna burza dyskusji, rozpałyły się serca i umysły, tu u nas czuć tylko lekki wiaterek, jaki z góry dociera. Gdzieś tam w górze ktoś, „chodząc od pewnego czasu po ulicy, nieswoimi oczami spogląda na ludzi, samochody, budki z gazetami i barwę nieba — i co krok stawia sobie kwestię — jaka jest miara szczerości wniosków i decyzji, które się wiążą z XX Zjazdem Partii. Czy zacznie się to życie socjalistyczne na serio, które było w sercu — którego brakło w rzeczywistości?” („Nowa Kultura“ Nr 15, z 8.IV.56 r. Z. Florczak — „Miara szczerości”), a tutaj u nas pozornie nic się dotychczas nie zmieniło. Jak dawniej martwimy się o wykonanie planu kontraktacji, o przygotowania do siewów, jak dawniej, tylko z większą mocą odierać musimy ataki kulackiej plotki. Więc, towarzyszu drogi, wytłumaczcie mi, na czym polega istotny sens uchwał XX Zjazdu dla naszego życia partyjnego, gospodarczego i kulturalnego. Podajcie mi pomocną dłoń, bo naprawdę jest mi ciężiej niż kiedykolwiek. Ja wierzę w słuszność uchwał XX Zjazdu, bo nauczyłem się wierzyć naszemu KC i KC KPZR, ale to mi nie wystarcza. Ja chciałbym wszystko rozumieć...”

Niedobrze trafiłeś, towarzyszu drogi. Nie tylko ty, ale i ja chciałbym, aby wyciągnięto do mnie pomocną dłoń. I ty i ja wychowani byliśmy w okresie największego nasilenia kultu jednostki, i tobie i mnie szereg spraw niejasnych cisnie na usta pytania, na które chcielibyśmy już dzisiaj otrzymać odpowiedź. Stwierdzasz, że „wielu aktywistów sądzi, iż po pewnym okresie czasu będziemy odwoływać to, co dzisiaj mówimy”, stwierdzasz następnie, że „nauczyłeś się patrzeć oczami ogółu, a w twojej organizacji jeszcze nie dyskutowano materiałów XX Zjazdu, bo nie było polecenia KW ani KP”. Zastanówmy się obaj nad tym, skąd bierze początek to pierwsze twoje twierdzenie.

Przyznasz mi zapewne, że obydwaj nauczyliśmy się patrzeć na pewne zjawiska naszego życia poprzez okienko dyrektyw i zarządzeń płynących z góry. Przyznasz mi, że nawet w tych wypadkach, kiedy nie zgadzaliśmy się z pewnymi faktami, miarą ich prawdziwości były dla nas słowa Sekretarza KP, bądź dyrektora. W ciągu długich lat naszego partyjnego życia uczyliśmy się dostosowywać wypowiedzi do opracowanego ogólnie referatu z wy kropkowanymi miejscami na cyfry „uterenowiające” ten referat. Równocześnie uczyliśmy się słusznej leninowskiej teorii o konieczności dyskusji ideologicznych.

Paradoks? „Okienko dyrektyw” i konieczność ideologicznych dyskusji?

Tak. Bolesny paradoks.

Na pewno ani ty, ani ja nie zastanawialiśmy się nad tym, że praktyka nie jest zgodna z teorią leninowskich norm życia partyjnego. To mało. Nie tylko nie zastanawialiśmy się nad tym, ale uważaliśmy, iż ta praktyka zgadza się z teorią.

Na twoje i własne usprawiedliwienie mam to, że wszystko, co czyniliśmy — czyniliśmy w dobrej wierze. Na twoje i własne usprawiedliwienie mam to, że w tym, co czyniliśmy, było bardzo dużo rzetelnego wysiłku, którego cząstka złożyła się na te wszystkie wartości materialne i duchowe, jakie w ciągu tych lat uzyskaliśmy. I dlatego uważam, iż zgodziły się obaj z tą częścią artykułu Zygmunta Baumana („Po prostu” Nr 15, z 8.IV. br.), w której pisze on: „Mówią nam dziś: „Dlaczego tę prawdę tak przeżywasz? Dla nas ta prawda nie jest wstrząsem, myśmy ją znali wcześniej, więc stanęliśmy na uboczu”. A my — nie stanęliśmy na uboczu, nie mogliśmy stać, więc nie znaleźliśmy prawdy wcześniej, bo nie chcieliśmy jej znać, bo jej nie mogliśmy przyjąć. I nie chcemy rewidować naszej decyzji — chcemy rewidować jej implikacje i warunki, które te implikacje rozdziły”.

Tak jest. Zastanówmy się dzisiaj obydwaj, dlaczego niektórzy aktywiści nie mówią szczerze tego, co myślą, dlaczego nikt nie chce za wcześniej zdradzać się ze swymi myślami.

Czy nie jest to wynik poprzedniego wychowania w duchu niezgodności teorii z praktyką? Ależ tak. Czy nie jest to wynik jednego z najgorszych następstw kultu jednostki — teorii o wszechpotężnym wrogu wkradającym się w szeregi partyjne? Ależ tak. Obawa przed „wrogą wypowiedzią”, obawa przed wypowiedzią „nie po linii”, oto reperkusja wyciętego przez XX Zjazd czyraka. Przewyciężyć te reperkusje w sobie, przestrzegać ściśle norm życia partyjnego opracowanych przez Lenina, „lecz często naruszanych do XIX Zjazdu Partii” — oto nasze najważniejsze zadanie.

Dalszą reperkusją kultu jednostki, równie groźną jak obawa przed wrogą wypowiedzią, jest ciągle czekanie na odgórne dyrektywy, na polecenia KW, czy KP. Przypomnijmy sobie obydwaj, iż „zapominanie o tym, że każdy przywódca partyjny to mąż zaufania wybrany przez komunistów, zrodziło w aparacie partyjnym niezgodną z tradycjami bolszewickimi terminologię: „gospodarz powiedział”, „wydał rozkaz” itp. Gospodarzami w partii są masy partyjne, zaś przywódca partyjny — to nie komendant — administrator, lecz organizator i wychowawca, albowiem kierować, to w sensie bolszewickim przede wszystkim umieć przekonywać”.

Czyż więc nie powinieneś sam, jeśli takie jest twoje zdanie, powiedzieć na zebraniu POP o naukach XX Zjazdu wypływających dla miejscowości, w której mieszkasz? Wydaje mi się, że tak. Przecież XX Zjazd „z całą siłą wskazał na konieczność ściślejszego powiązania naszej propagandy i agitacji z zadaniami stworzenia materialnej bazy produkcyjnej komunizmu...” Twierdzisz, że gdzieś

w górze „rozpętała się istna burza dyskusji, rozpalili się serca i umysły, a w dole czuć tylko lekkie wiaterek”. Czyż nie jest naszym obowiązkiem rozpatrzenie tej burzy i w dole? Pomyśl nad tym...

Drogi towarzyszu. Bardzo przepraszam za to, iż zamiast dyskutować z tobą na dręczące problemy, wpadłem w ton „wytyczno-instrukcyjny”. To jeszcze jedna wada, nabyta w minionym okresie, której trzeba się będzie pozbyć.

Wróćmy do interesujących nas zagadnień. Twierdzisz: „W ciągu dziesięcioletniego stażu partyjnego zawsze mówiliśmy o kolegalności, samodzielności, o obowiązku myślenia. Prawda, że wysławiliśmy imię Stalina ponad ludzką miarę...” itp. Mówisz później: „Może to brzmi paradoksalnie, ale ja w minionym okresie nauczyłem się kolegalności...”

Nie wstydz się tego wyznania. Wielu, wielu szeregowych członków Partii stwierdza dzisiaj to samo. I nie wierz, towarzyszu, Zygmuntowi Baumani, który w cytowanym już artykule „Żeby nie powtórzyło się więcej”, zamieszczonym w 15 Nr „Po prostu”, pisze: „Gdy się działa w imieniu sił społecznych znoszących zbrodnie i wnoszących moralność ludzkości na niewidzialne dotąd wyżyny — trzeba kłamać, gdy się popełnia przestępstwo. Między ludźmi wznosi się mur fałszu i przemilczeń; odgradza on kierowników od mas członkowskich, partię od mas. Mur wiecznego niedomówienia dzieli, dziesiątkuje, atomizuje społeczeństwo... Ludzie, którzy długo przymykali oczy, w końcu ślepną... Płaczą się kryteria oceny wartości ludzkiej, odwracają do góry nogami kryteria moralne... Na glebie kłamstwa bujnie plenią się cherlawe, karłowate charaktery... Na mętnej cieczy zakłamania nawarstwia się piana cynizmu i piana bezmyślności... Ślepotą, którą tępiła idea, jest honorowana jako główna zaleta ludzi... Rodzi się system wielowarstwowy, pokrywający swą siatką całe społeczeństwo. System ten rozdził się z potrzeby kłamstwa, która powstała w momencie pojawienia się pierwszej szczeliny między teorią rewolucji a praktyką jej fałszowania...”

Nie wierz mu, towarzyszu. To zwykła histeria. Nigdy, nawet w okresie największego nasilenia kultu jednostki, Partia nie utraciła swej więzi z masami. Nigdy, nawet na moment, kierownictwo Partii nie utraciło zaufania mas partyjnych. To prawda, że wskutek „berioowszczyzny” osłabła nasza więź, że skrzywdziliśmy wielu ludzi, że wypaczyliśmy metody wychowawcze. To tragiczna prawda, że czyniliśmy to z myślą o zwycięstwie naszej idei, ale to fałsz, że osłепiliśmy, że zatraciliśmy kryteria oceny wartości ludzkich.

W dyskusyjnym ferworze łatwo jest uznać cały organizm za chory tylko dlatego, że na jednej ręce powstał czyrak. W dyskusyjnym zapale łatwo jest zapomnieć o tym, gdzie jest granica między prawdą, o którą walczymy, a zwykłą demagogią.

Obok Stalina, zadufanego w sobie, istniało przecież kierownictwo partyjne, oceniające trzeźwo bieg wypadków, był twórcą wszystkich osiągnięć

— naród radziecki. Bez tego niemożliwe byłoby zwycięstwo nad hitleryzmem, realizacja planów pięcioletnich — niemożliwe byłyby wszystkie zdobycze ZSRR. O tym nie wolno nam zapominać.

Cóż jest dla nas w tej chwili sprawą najważniejszą, zapytasz może, towarzyszu drogi. Odpowiem ci tak, jak sam rozumiem. Nasza polityczna aktywność, nie dyrektywistyczna, nie cenzurowana przez

„szczebel wyższy“, ale mieszcząca się w sercu — oto sprawa najważniejsza. Wspominałeś, że w dole walczyć trzeba z narastającą plotką. Tak jest. Rozgromienie naszych politycznych przeciwników w drodze żarliwej dyskusji ideologicznej — oto nasz najbliższy cel. Ujawnienie naszych błędów niech nam dodaje siły.

— Adolf Lekki

Janusz Andrzej Tchórzewski

* * *



Głos żołnierzy AK

Wymazani z historii i ludzkiej pamięci,
oskarżeni o bohaterstwo.

A przecież nikt z nas siebie, swojej krwi nie szczędził
i las nas walką spowil jak derką żołnierską.
Przecież jednak ciemność zaświeciła mordem
nam i tysiącom innych z Berez i Rawiczów...
Kto sprawił i dlaczego czyn nasz się nie liczy?

Ja

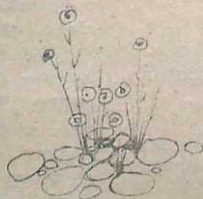
Codziennie, kiedy księżyc chodzi po moim oknie,
wspominam tamtych chłopców — moich rówieśników.
Umarli — zapomniani, a żywi samotnie,
idą drogą, która prowadzi do nikąd.
Podpalają me wiersze jak dawniej „Tygrysy“
I cień ich na mnie pada.

I nie mogę pisać.

Głos żołnierzy AK

Krew przełana... lecz nikt z was nie pamięta o tym.
Nasze dawne mogiły pokrywa pył świeży.
Czekamy na swój epos — nowe Don Kichoty,
przez życie pasowani na błędnych rycerzy.

Janusz Andrzej Tchórzewski



FAULOWIE MU

Zygmunt Łupina

OSKARŻAM *)

Czy marzyliście kiedy o gronie przyjaciół związanych wspólnymi pragnieniami i dążeniami?

Ja marzyłem...

Gdy żyłem jeszcze w kręgu bohaterów Karola Maya, Max Branda, Londona czy Umińskiego, było to grono podobne do chłopców z Placu Broni, związanych chłopięcymi pragnieniami przygód, marzeniami i wizjami dalekich, nieznanymi ładów, czekających na naszą, odkrywczą stopę. I takie grono skupiać wokół siebie było stosunkowo łatwe.

A później przyszedł inny krąg bohaterów, pragnienia i marzenia pogłębiły się i rozszerzyły i gronem na miarę tych marzeń i pragnień byli Filareci, Dekabryści, grupa z Rzeczywistości, czy zespół z „Grenady“.

Tużaj byliśmy związani chęciami przebudowy świata, prowadziliśmy długie, namiętne dyskusje nad drogami do tego celu wiodącymi. Byliśmy związani wspólnymi ideałami, marzeniami o Rewolucji, czynem rewolucyjnym...

Niestety, tylko w marzeniach...

O takie grono przyjaciół w rzeczywistości jest o wiele, wiele trudniej. W naszym, lubelskim środowisku studenckim o takich zespołach nie wiem. Jeśli są tacy ludzie, to żyją i czują się samotni wśród tłumów. Odczuwając potrzebę takiego zespołu, nie mają siły, inicjatywy, i... chęci do stworzenia go. Na naszych uczelniach panoszą się dzieci dr. Faula.

W naszym środowisku... posłuchajcie!

Duża część naszych koleżanek i kolegów traktuje studia jedynie jako środek zabezpieczenia swego bytu materialnego. Dlaczego?

Nikt nie chce iść na trudne odcinki pracy: odbywa się ucieczka przed wsią, małym miasteczkiem. Gdzie nasze siły na zamiary? Jakie są nasze zamiary?

Duża część naszych studentów jest ideowo nijaka, gdyż można wysuwać dowolnie dużą liczbę twierdzeń niezgodnych z ich tradycją uświęconymi poglądami, a oni nie zareagują.

Dlaczego?

Bo dr Faul obezwładnia ideowo.

Bo dr Faul wiąże język i zamyka serca.

Bo dr Faul wydziera chęć czynnego działania i przeciwstawiania się marazmowi.

* Przemówienie asystenta katedry marksizmu-leninizmu przy Akademii Medycznej w Lublinie, które uzyskało II nagrodę na Konkursie Krasomówstwa zorganizowanym w dniu 15.IV. br. na KUL.

Bo dr Faul hamuje Rewolucję.

Kto to jest dr Faul? Jaką ma twarz? Na te pytania nie ma jednej odpowiedzi.

Oto pierwsza twarz. Twarz, którą się pamięta całe życie, która znana jest nam na jawie i we śnie. Twarz Matki... Słowa Jej pamiętamy całe życie, chodzą one za nami, kształtują nas. A nierzadko słowa te są słowami dr. Faula: „Zapisz się, synu, do ZMP, zapisz się do Partii, to ci nie zaszkodzi, a pomóc może“. Czy znacie tę twarz?

A inna postać. Profesor wykładający teorie Le-pieszyńskiej, Bosziana czy Łysenki, choć wie, że są one nieprawdziwe. Profesor — koniunkturalista, który dla utrzymania katedry staje się materialistą na wykładzie, ale później uspokajający swe sumienie przed ołtarzem i konfesjonalem. Czy dwóch twarzy profesora studenci nie widzą?

Ale od nich groźniejsi są ci —

Dwoje młodych... podobno kochali się. Ale, gdy przyszło do próby, gdy urodziło się dziecko, on pokazał swą właściwą twarz: nie chciał ożenić się. Oboje byli członkami ZMP, postanowiono na nich oddziaływać wychowawczo. Na ogólnym zebraniu w ciszy nasyconej ciekawością rzucono im pytania: „Kiedy to się stało? I w jakich okolicznościach?“ Czy znacie to uczucie zamykające młodym ludziom serca? Czy tę twarz dr. Faula znacie?

Mam kolegę... członek Partii. Jest bierny w dyskusjach i czynach, nie widać w nim serca... Buntowałem się przeciwko takiej postawie: po co zapisałeś się do Partii? Odpowiedział: — Pragnąłem pracować, ale cięży na mnie piętno: byłem w AK. Nie powierzano mi prac, nie wybierano do partyjnych instancji i tylko dlatego, czulem to piętno stale: w domu, na studiach. Człowieku małego ducha, za tymi kołtunami nie widzisz chyba naszej rzeczywistości? Nic nie odpowiedział.

Za kilka miesięcy, gdy wybierano delegatów do wyższych instancji, sekretarz wysunął zastrzeżenie: nie będziemy wybierali byłych granatowych policjantów, członków AK itp.... Spojrzałem na niego... gorzki to był triumf, ale triumfował.

A czy tę twarz znacie? Czarne włosy zaczesane do góry, duży nos i wąsy... I czy znacie listy z więzienia: „Nie ma bardziej gorzkiej męki, niż siedzieć w więzieniu w ustroju, o który zawsze walczyłem“. — Towarzyszu! Biją mnie w niezaleczone rany, abym przyznał się, że jestem wrogiem ludu! Ja, stary bolszewik!

SZĄ ODEJŚĆ

I potem — jeden ruch ręki zamykający te gorące usta na wieki...

A wy — zebrani tutaj! Czy rozumiecie tragedię ludzi, którzy widzieli w nim uosobienie tego, co najbardziej godne naszych marzeń i czynów — Rewolucji? Czy może być coś potworniejszego? Czy mógł dr Faul objawić się w straszniejszej postaci?

A wielu czuło pustkę, nie widziało oparcia, bo wielość twarzy zlewała się w jedną wszędzieobecną, wszystkowiedzącą, beznamietną i nieuchwytną twarz Anonima.

Teraz wiele rzeczy jest jasnych!

Ach, wy, karły o nijakiej twarzy! Ileż zamknęliście gorących ust i serc, ileż zmroziście gorących myśli, ileż spętaście młodych rąk?

Ale nie wszystkich!

Jakże silna musi być Rewolucja, jak silni są Jej ludzie, że przetrwali. Przyszedł wielki wiatr, który zerwał okowy zimy, zimy mrożącej serce, mózg i ręce. Rozpoczął się wielki Obrachunek, wielka Samokrytyka, wielka Rehabilitacja. I to stanowi o wielkości Rewolucji, o Jej mocy. Wielka, bolesna, napawająca optymizmem szczerłość.

W historii ludzkości popełniano wiele błędów, ale pokażcie mi tak wielki przykład Samokrytyki. Historia ludzkości ma wiele plam, ale pokażcie mi tak wielką i szczerą chęć ich zmycia. Powiedźcie mi, czy Kościół ustosunkował się do działalności Świętej Inkwizycji, tej plamy średniowiecza? Ileż i jakich pęt ona nałożyła?

A czy imperializm wielkobrytyjski, z którego tak dumni są synowie Albionu, ustosunkował się do swego udziału w tej hańbie ludzkości cywilizowanej, jaką jest kolonializm? Kolonializm, który zdeprawował moralnie i fizycznie całe ludy, który rzucił tych ludzi na żer żądnych funtów szterlingów kolonizatorów.

Nie, nie ustosunkowano się. Wprost przeciwnie — starano się kolonializm uzasadnić. Posłuchajcie w jaki sposób: „Wydaje mi się, że imperium brytyjskie ma jedną misję, a jest to misja wolności, swobody i rozwoju. Jeśliby siła i brutalność były w życiu, to na ogół równoważyłyby się w końcu korzyściami, które przypadają w udziale krajom i narodom podbitym”.

A przecież było chyba kilkadziesiąt lat do oceny tych korzyści. Na co Anglicy czekają, czy na wyrok Historii?

A cóż powiedzieli nam władcy Stanów Zjednoczonych na temat dyskryminacji rasowej w swoim kraju? A przecież USA pretendują do miana jednego z najbardziej demokratycznych krajów świata.

Nie, takiej Samokrytyki nikt nie przeprowadził, do tego zdolna jest tylko Rewolucja. I to jest Jej wielkość i siła, i to jest pewność Jej zwycięstwa.

Są panowie z bródkami, którzy zacierają ręce i patrzą ze świątobliwą miną w swoje nieskalane Rewolucją sumienie, którzy teraz zlecieli się jak szakale, by żerować na tragedii synów rewolucji, by znaleźć dla siebie miejsce w nowym prądzie.

Ale nic z tego, panowie! Przy potężnym wicherze na drzewie zostaną tylko zdrowe liście, chore, karłowate spadną tam, gdzie ich miejsce — w błoto.

Z drogi, karły! Z drogi synowie dr. Faula, bo zmiażdży was gorąca stopa rewolucji! Faulowie muszą odejść — takie jest prawo historii!

A wy wszyscy ucziwi, ale wahający się — wybierajcie! Albo z Rewolucją, albo z dr. Faulem. Wicie teraz wszystko. Wiedźcie i to, że pozostanie teraz na marginesie życia to strata ostatecznej szansy, to dla Was — tragedia. Bo tragedią jest czuć się niepotrzebnym społeczeństwu dążącemu do Komunisty.

Zygmunt Łupina

Anna Jakubiszyn

O BYLE KANALIACH

Jak wynika z tytułu, nie zamierzam pisać recenzji z „Obrony Grenady“. Nie wydaje mi się w tej chwili rzeczą najważniejszą ocena jej nowatorstwa formalnego, które — jak zauważono — polega na zręcznym skojarzeniu publicystyki z beletrystyką. Nie chcę dyskutować, jak dalece posługiwanie się metaforycznym uogólnieniem i postaciami — symbolami zamazuje wymowę moralną pewnych zagadnień. Nie będę zastanawiać się nad tym, czy

właśnie autor „Obywateli“ był najbardziej powołany do bronienia „Grenady“. Chciałabym natomiast mówić o tych, których utwór Brandysa przemilcza, a raczej o zaliczanych implícite przez niego do kategorii „panów z bródką“ i „byle kanali“, której wystarcza byle sumienie“. Wydaje mi się to tym bardziej celowe, że przemilcza ich również większość dyskutujących nad „Obroną Grenady“, w szczególności Salomon Łastik w artykule „Bronię

Grenady", który był zamieszczony w „Kulturze i Życiu” (numer z 8 kwietnia) i z tej racji na terenie Lubelszczyzny dotarł zapewne do znacznie szerszego kręgu czytelników, niż którakolwiek inna wypowiedź na ten temat.

Lastik pisze: „Celem omawianego opowiadania jest wykazanie tragizmu tego okresu, w którym ludzie, czując się współodpowiedzialni za los rewolucji w naszym kraju, często wbrew własnym przekonaniom, w imię idei służenia społeczeństwu i partii zrezygnowali z wielu posunięć i czynów sobie bliskich, albo też z biegiem czasu wyrażali zgodę w tych sprawach, które w przyszłości miały okazać się niesłuszne czy też wręcz szkodliwe dla rozwoju i rozkwitu kultury. Teraz więc należy zadać sobie pytanie: Czy wolno tych ludzi oskarżać i potępiać? Autor sam daje na to dosadną odpowiedź: „Lada mydełek czuje się dziś mądrzejszy od tych lat; słyszy, jak kołtun trąbi z triumfem, że on nie dał się wciągnąć... Byłe siumienie starczy dziś byle kanalii. Ale my przecież wierzyliśmy w te lata”. I dalej Lastik: „Dlatego też to, co dla wielu szlachetnych jednostek jest tragedią, dla drugiej kategorii ludzi jest okazją do zacieraania z zadowolenia rąk i twierdzenia z uśmiechem „Schadenfreude”: „Myśmy z góry wiedzieli, że to nie jest słuszne”. Niestety, nie brak i w naszej rzeczywistości takich ludzi, żerujących na każdym potknięciu się naszym w trudnym marszu ku socjalizmowi i nie mogących zrozumieć, że dobro i zło „w rewolucji nie daje się oddzielić od siebie tak łatwo jak mięso od kości na mieszczańskim stole” *).

Tak więc Lastik idąc śladem „Obrony Grenady”, widzi w środowisku twórczym, biorąc szerzej — w środowisku inteligenckim, w środowisku pracy umysłowej tylko dwie zasadnicze kategorie ludzi: z jednej strony szlachetne jednostki, rewolucjonistów dobrej woli, którzy obecnie przeżywają „trzęsienie ziemi” (por. artykuł W. Machejka w „Życiu Literackim” z 8. IV.), z drugiej — panów z bródką, kanalie i kołtunów, mniej lub bardziej zakamuflowanych wrogów rewolucji, którzy przez cały czas trzymali się na uboczu, a teraz zacierają rękę z oblesnym uśmiechem.

Czy taki podział odpowiada rzeczywistemu stanowi rzeczy? Czy ludzie „Grenady” byli jedynymi, którzy w minionych latach przeżywali tragedię, a przynajmniej staczali walki wewnętrzne? Czy tylko „panowie z łalami na łokciach” byli w opozycji wobec doktora Faula? Czy tylko „Grenada” padła ofiarą jego poczynań?

Na pytanie te odpowiedział częściowo A. Sandauer w swym głośnym artykule „O bohaterskim oportunizmie” („Przegląd Kulturalny” 23—28 lutego) pisząc o tych, „którzy nie schodząc z pozycji partyjnych umieli walczyć o swe artystyczne

przekonania, przeciwstawiając się wytkniętym później błędem... nigdy nie zgodzili się na wypaczenia występujące w ówczesnej polityce kulturalnej, czego dowodem jest ich ośmioletnie milczenie; nie wystawili żadnych „Brygad szturmowych”... A jednak są wśród nich przedwojenni działacze partyjni, są więźniowie Berezy”.

Sandauer mówił o twórcach, którzy przyszedli do rewolucji, nim rozpoczęło się panowanie doktora Fula, którzy zetknęli się z nim już jako ludzie dojrzały i świadomi swych celów. Ale byli jeszcze inni, o których chciałabym przypomnieć. Byli rówieśnicy „Grenady”, dla których porachunki z doktorem Faul'em są również gorzkie, choć z innych dokonywane pozycji.

W literaturze minionego dziesięciolecia weszło w modę określenie: „wahający się inteligent”. „Wahający się inteligent” mojego pokolenia był to człowiek o skąpom, przeważnie bardzo skąpom doświadczeniu lat przedwojennych i ciężkim, nieraz zbyt ciężkim do udźwignięcia intelektualnego i moralnego — bagażu czasów nieludzkich. Kolejne jego były różne: po gorczy „polskiej jesieni” prowadziły przez obozy, więzienia, oddziały leśne, w najlepszym razie przez poniewierkę materialną i tajne komplety uniwersyteckie. Wiadomo, że miał obciążenia i jakie obciążenia: „szlachecką” genealogię polskiej inteligencji, kult dla Zachodu, dla polityki i kultury Zachodu, opory wobec Związku Radzieckiego, skłonność do upatrywania w humanitarnym liberalizmie ostatniego wyrazu postępowości. Ale też miał rozum i serce, które kazały mu odwracać się ze zgrozą od przejawów obcego i rodzimego faszyzmu, które otwierały mu oczy na rachunki krzywd w ojczyźnie i konieczność ich wyrównania, które mówiły mu, że musi dokonać wyboru pomiędzy dwoma ścierającymi się siłami swej epoki — i podpowiadały mu słuszny wybór.

Jego rówieśnicy z „Grenady” wyboru tego dokonali zawczasu — może mieli mniej obciążeń, może bardziej spragnieni byli autorytetu. A może później trafili na swego doktora Faul'a. Na doktora Faul'a, który stanął jak wrogi cień na drodze „wahających się” do rewolucji. Na ich różnych drogach do rewolucji.

Wielu z nich, bardzo wielu, było szeregowymi żołnierzami Armii Krajowej. Ci, którzy nie byli, mieli w AK braci, przyjaciół, bliskich. Z sławetnego plakatu, wykonywanego w którymś z faulowskich instytutów czy jakiejś pra-komórce, dowiedzieli się, że są wszyscy „zapłutymi karłami reakcji”. I na tym, jak wiadomo, sprawa się nie skończyła. Osąd, sformułowany przez Faul'a czy kogoś z jego dobranych współpracowników, napiętnował ich, jak dawnymi czasy piętnowano przestępców. Piętno jątrzyło się lata całe w oczekiwaniu na bilans późnej sprawiedliwości. Prawda, że niektórzy przeszli w tych latach na pozycję wroga: ale czy wina była tylko po ich stronie?

Inni pochodzili z terenów, o których dziś mówi się, że były widownią dyskryminacji narodowej

*) Zauważmy, że Lastik cytuje tu *ipsissima verba* doktora Faul'a. Czyżby jeszcze jeden dowód żywotności „laulizmu”??...

wobec Polaków. Niech jedne fakty nie przesłaniają nam nawet na chwilę innych faktów mniej istotnych: były to najpierw tereny dyskryminacji stosowanej przez Polaków. Tam w latach wojny mieliśmy poznać do końca straszliwy smak nienawiści, jaką ciemiężeni odpłacali ciemiężcom. Ale nie umniejszało to goryczy tych, często najmniej winnych, którzy z kolei padali ofiarą prześladowań norodowościowych ze strony ludzi, głoszących szlachetne hasło internacjonalizmu. Wielu z zesłańców wróciło potem do ojczyzny w mundurach Odrodzonego Wojska Polskiego. W stepach i lasach Azji niejeden z nich odnalazł swoją drogę do rewolucji. Ale u niejednego też na dnie świadomości pozostał osad krzywdy, która o ileż rychlej poszłaby w niepamięć, gdyby doktor Faul nie uznał jej za niebyłą, gdyby nie jątrzył jej wyrafinowaną metodą przemilczenia. Tak, jak milczał o losie KPP.

Te dwie sprawy były może najboleśniejsze, były jak zadry, które wyrwać można tylko z strzępem żywego ciała. Ale były też sprawy inne, w których szło o coś jeszcze może ważniejszego.

Zrozumieście, proszę, jedno: dla „wahających się” rewolucja nie była jeszcze sprawą najbliższą, mogła się nią dopiero stać i sądzę, wierzę, że dla wielu byłaby się stała znacznie prędzej i w całej pełni, gdyby na drodze ich nie znalazł się doktor Faul z swymi nieodstępnymi totumfakciami — podskakiewiczami. Gdyby między Doktorem a „wahającymi się” nie szło o rzecz dla nich jakoś najważniejszą — o sumienie. Tak, w grę wchodziło tylko byle sumienie byle kanalii, jak to ładnie określił Brandys, ale było to jednak ich sumienie, i mimo wszystko woleli iść za jego głosem, niż zdawać się na „węch i słuch” (znów cytuję autora „Grenady”).

Wśród „wahających się” mego pokolenia byli oczywiście ludzie bardzo różni zdolnościami i stopniem talentu: od wybitnie zapowiadających się młodych twórców, poprzez „speców” różnych dziedzin, do zwykłych, „szarych” inteligentów pracujących. Im byli zdolniejsi, tym rychlej i bardziej bezpośrednio zetknęli się z Doktorem. A raczej nie, nie z Doktorem — z jego cieniem i głosem. W życiu rzeczywistym spotkali nie symbole, ale konkretnych ludzi, z którymi łączyły ich wielorakie więzy. Byli to niejednokrotnie ofiarni działacze rewolucji, ludzie zahartowani, doświadczeni, o dużej wiedzy teoretycznej i praktycznej, a często — ludzie uroczy w kontakcie osobistym. „Wahający się”, podobnie jak członkowie „Grenady”, wyszli z lat wojennych z sercem pustym lub znużonym nienawiścią, a za wielki to ciężar dla lat dwudziestu czy dwudziestu paru. I oni chcieli wierzyć i kochać, im także głowy płonęły, i oni szukali Prawdy Obiektywnej, i oni chętnie szliby za Autorytetem. Jak powiedziałam, życie stykało ich z ludźmi mądrymi i zaprawionymi w trudzie rewolucyjnym. „Wahający się” chadza do nich z swymi pytaniami, z swymi wątpliwościami, z swą rozterką — z problemami „inteligentkich pięknoduchów”. I nagle

z ust ludzi, którzy dawali im niekłamane dowody życzliwości, byli często ich opiekunami, patrzyli im prosto w oczy, ścisłali dłonie — nagle z ich ust rozlegał się głos Doktora Faula, za znajomym i bliskim obliczem majaczył nagle cień postaci nieuchwytny i w tej nieuchwytności nieludzkiej — cień Faula. Czasami Głos przekonywał ich, podobnie jak przekonywał członków „Grenady”, rozmówcy mówili przecież nad nimi dojrzałością i wiedzą, a Doktor był na pewno bardzo inteligentny. Ale argumenty nie sięgały w głąb serc i umysłów. Wystarczyło wyjść z gabinetu, gdzie toczyła się rozmowa, wystarczyło, że przebrzmiały echa perswazji, a znów powracały dawne wątpliwości: czy pół-prawdy nie prowadzą nieuchronnie do całych kłamstw? czy kłamstwo może służyć prawdzie? czy słowa ostoją się faktom? czy dogmat zastąpi rozumowanie? czy cytaty starczą za argumenty? czy za zewnętrznymi objawami cezarizmu nie idzie jego istota? czy w stosunku do naszej epoki nie obowiązują krytycyzm, stosowany do minionych? czy lud, dla którego tworzył Homer i Arystofanes, Molier i Szekspir, Hugo i Mickiewicz — czy lud jest dzieckiem? czy my jesteśmy dziećmi?...

Wątpliwości stawały się jeszcze dotkliwsze, gdy przez drzwi gabinetów, które dla „wahających się” nie zwasze bywały otwarte, wchodził bez pukania Miernik i Swatkowski. Gdy wychodzili stamtąd z dostojnymi minami wtajemniczonych, którzy posiadli Prawdę-Ostateczną-Na-Danym-Etapie. A etapy zmieniały się tak szybko, że nie podobna było nadążać za nimi tym, którzy nie chcieli odfajkować własnych myśli i przekonań.

Raz jeszcze proszę, zrozumieście: rewolucja nie była dla nich jeszcze sprawą najbliższą. Ci, dla których była, nie dostrzegali może w całej wyrazistości Faulów, Mierników i Swatkowskich. „Wahającym się” Faul niejednokrotnie przesłaniał rewolucję.

Ale przecież mimo wszystko „wahający się” dokonali wyboru. Wybrali — nieraz kosztem wyobcowania się z własnego środowiska — że nie będą przeciwko rewolucji. Wybrali (to naprawdę nie byli panowie z bródkami) nie stoliki kawiarniane i zarobki z lewej ręki, ale pracę na codzień. Oni, „specy”, do których rewolucja nie miała pełnego zaufania, w małoduszności swej postawili sobie program minimum: uczciwej roboty.

Tak, ich współodpowiedzialność za swoją epokę była tylko współodpowiedzialnością milczących. Tak, nie przelewali krwi za rewolucję, nie oddali jej całego serca, oddali jej tylko ręce. Tak, zatrzymali się w pół drogi, ale kto wie, ilu z nich cofnęło się nie przed czerwonym sztandarem, ale przed Faulem i jego Prawdą, a raczej przed Faulem i jego kłamstwami. Przed Faulem, który odebrał im młodość, bo odebrał im prawo do szukania prawdy, do świadomej walki o nią, bo zdusił w nich rewolucyjny płomień, nim zdążyli zapłonąć.

Czy teraz rzeczywiście zacierają ręce i mówią z uśmiechem triumfu: A myśmy dawno wiedzieli? Mnie się zdaje, że raczej milczą z zażenowaniem wobec cierpienia tych, którzy naprawdę przeżywają swoje trzęsienie ziemi, bo i oni sami przecież po tej ziemi stąpali i przykładali się do jej uprawy. Że milczą z niesmakiem wobec Swatkowski i Mierników, którzy wymachując zielonymi kapeluszami wykrzykują znów gromko hasła „nowego etapu“...

Na miejsce obalonych mitów nie tworzymy nowych i nie szukajmy wrogów tam, gdzie są — przynajmniej potencjalni — sprzymierzeńcy. Zachęcając do samodzielnego myślenia, nie wymyślajmy od „hien“, „kanalii“ i „kołtunów“ tym, którzy w miarę swych możliwości dawniej już w niesprzyjających temu warunkach — usiłovali myśleć samodzielnie. Pamiętajmy o prawdzie wypowiedzianej przez któregoś z francuskich pisarzy: oprzeć się można tylko na tym, co stawia opór.

Anna Jakubiszyn

Jerzy Krzysztoń

KIOSK

Stał poręcznie, tuż za rogiem, o kilka kamieniec przed biurem, gdzie odsiaduję swoich osiem godzin na dobę. Zielony i schludny, z tabliczką spóźnień inwalidów. Co rano idąc do pracy kupowałem tu dwadzieścia „sportów“ i zapalki. Za szybkami, ściśnięte to jak śledzie w beczce — bo to była istna ciupka, a nie porządny kiosk — siedziało dwoje właścicieli. On był trochę podobny

do „swoje“ dwadzieścia „sportów“ i zapalki, zapytać przez te nagrzone szybki:

— Nie jest tu państwu za ciasno?

Na to ona zamrugała oczami i powiada, pamiętam jak dziś:

— Dałby Bóg taką ciasnotę do samej śmierci.

Tak właśnie powiedziała, a on poważnie skinął głową, zupełnie jak naczelnik, i nagle się uśmiechnął. Zębów miał kilka złotych, porządne korony, widać było, że im ten interes dobrze szedł. A może miał je sprzed wojny, nie wiem. W każdym razie zauważyłem, że co sobotę pisał ołówkiem na odwrocie pudełka „wczasowych“, a ona zaglądając mu przez ramię — czytała, taka zadowolona jak nigdy. Widocznie dobrze im się co tygodnia targowało.

Z czasem była już między nami taka zażyłość, że jak mi zbrakło gotówki przed pierwszym, mogłem brać swoje „sporty“ i zapalki na kredyt. Tak mnie znali, że uchyliwszy kapelusza kładłem pieniądze bez słowa, bo ani mi w głowie nie powstało, że dadzą mi papierosy nie te, co lubię. Wiedzieli, że palę tylko „sporty“. Zawsze też trzymali dla mnie te z radomskiej wytwórni, najlepsze. Nie zdarzyło się, żeby mi podsunęli „czyżyny“, zjechała paskudztwo. Nawet prasa o tym pisała.

Przyjemnie, że i mój służbowy wyjazd i urlop — jak przystało — odnotowali. Zawsze człowieka cenią.

— Dawnośmy pana nie widzieli. Mąż myślał, że — nie daj Boże — choroba się jakaś do pana przyplątała. Ale taki opalony, widać, że z urlopu. Wypoczął pan chociaż?

— A wypoczęło się, wypoczęło — odpowiedziałem uchyłając kapelusza.

A on poważnie kiwał głową i tak mi w tym naczelnika przypominał.

Tak to się zżyłem z tymi ludźmi, choć widzieliśmy się ledwie parę minut na dobę. W tym socjalistycznym pośpiechu, gdy człowieka bez przer-



do naszego naczelnika: myślące czoło (bo nasz naczelnik to głowa!), spokojne oczy, potężny kark, — i tak samo rzadko się uśmiechał. Ona... No, cóż, w przelocie, jak się człowiek boi spóźnić do pracy, nie czas przyglądać się ludziom i wszystko sobie w pamięci zapisywać. Tyle przy tym codziennym kupowaniu spostrzegłem, że rzadko widywałem słońce, bo była całkiem blada. Zimą im w tej ciupce chyba było ciepło, jak się tak wzajemnie ogrzewali, ale latem, żeby w takim ścisku wytrzymać... Aż mnie skorciło kiedyś, jak odbiera-

wy do pracy gonią, kiedy wszystko jest takie niepewne, dobrze wiedzieć, że jak się wyjdzie zza rogu, o kilka kamienic przed biurem, jest kiosk, schludny i zielony, w którym człowiek zawsze dostanie swoich dwadzieścia „sportów“ i zapalki.

Trzeba trafu, że w poniedziałek lecę do biura, późno, bośmy urządzili w niedzielę małego pokera, patrzę — a tu kiosk zamknięty. Żadnej karteczki, żadnego „wyszliśmy do hurtowni“ — nic, deski zasunięte, sztaba na kłódce, zamknięty i koniec. Taki pech! Musiałem pożyczyć parę groszy od referenta w sekcji zaopatrzenia, choć się krzywił jak zwykle.

Następnego dnia widzę — jest na kiosku klepsydra. Czytam. To on. Na pewno — sercowy. Teraz wszyscy umierają na serce. Nazwiska dobrego nie miał, jakieś pospolite. Szkoda, porządny człowiek, podobny do naczelnika.

Nikt kiosku nie otwierał może tydzień, a może i więcej. Zaczęłem kupować „sporty“ na placu, koło przystanku, ale mi przekupka pchała do ręki „czyżyny“! Jak jej grzecznie zwróciłem uwagę, ona do mnie: „Po co ta mowa? — powiada — Fabryka jestem, czy co?“

Tom się ucieszył, jak zobaczyłem wreszcie za rogiem i te szybki połyskujące i odsłoniętą tabliczkę spółdzielni inwalidów. Zdjąłem kapelusz i położyłem pieniądze — zwyczajnie — bo i cóż było mówić?

A ona — zmizerowana bardzo, jakby posiwiła — patrzy na mnie i podaje mi paczkę... „wczasowych!“ Oczy ma takie zapłakane. Pomyliła się, takie zmartwienie... Trudno. Nie wypomnę, nie wypada. Trudno. Chowam „wczasowe“ do kieszeni. Ona na to mruga tymi czerwonymi oczami i mówi:

— Ależ nie, proszę pana. Przecież pan pali „sporty“. Niech pan... zobaczy, co tam jest napisane...

Wyjmuję pudełko z powrotem, patrzę, na odwrocie — pismo ołówkiem...

— Jutro pójdziemy nad Wisłę...

Odczytałem to tak głośno, aż jakaś paniusia, co szła po zakupy, roześmiała się, bo wyszło, jakbym się ją z nią, z tą zapłakaną wdową — umawiał!

To ostatnie jego słowa, proszę pana.

— I... pani je zapisała? — powiedziałem, bo przecie trzeba było cokolwiek powiedzieć.

Znów popatrzyła na mnie, znów zamrużyła, taka zdziwiona.

— Więc pan nie zauważył...?

Spoglądam na zegarek: siódma pięćdziesiąt sześć.

— Owszem — powiadam — Owszem, zauważyłem, że pan... Kazimierz — niezręcznie to wyszło, takie spoufalanie się z nieboszczykiem tym imieniem, com zapamiętał z klepsydry — ...zapisywał na pudełku tygodniowe rachunki... Bilanse...

— Rachunki? Mój Boże, rachunki... Więc pan nie wie, że mąż... nie mówił? Tak, proszę pana. Stracił mowę od powstania, jak nas przysypało na Nowym Świecie...

— Rzeczywiście. Takie nieszczęście. Pani rozumie... dyscyplina pracy. Pani daruje... Zerkam ukradkiem na zegarek: siódma pięćdziesiąt siedem. Za trzy minuty zabiorą listę do personalnego. Zwracam czym prędzej pudełko. Łapię swoje dwadzieścia „sportów“ i zapalki. Kłaniam się...

— Proszę pana...

— Słucham — mówię — Słucham.

— Proszę pana... Pan jest starym klientem, stary klient to jak przyjaciel...

— Tak. Tak. Oczywiście.

— Do kogo mam się zwrócić jak nie do...

— Słusznie. Tak.

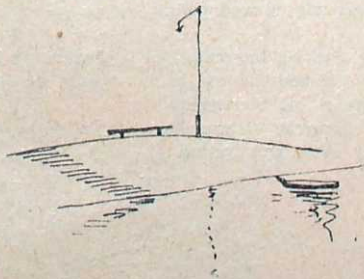
— Proszę pana...

— Słucham!

— Niech pan zabierze... Pracować nie mogę, nie robić nie mogę, pieniądze mi się... płacę i płacę, co popatrzę, to i płacę... Pan zabierze...

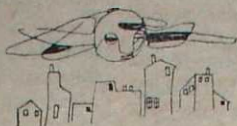
Do dziś trzymam pudełko w swoim biurku. Upycham w najciemniejsze kąty szuflady, przykładam aktami, ale zawsze nawinie mi się przed oczy najmniej spodziewane. Dziś, uradowany podwyżką, porządkowałem papiery (awans o dwie grupy! — naczelnik to tegi łeb), a tu znów te słowa: Jutro pójdziemy nad Wisłę! To nie do wytrzymania. To może człowieka rozstroić. Jutro pójdziemy nad Wisłę! Nie. Spalę je, dziś je spalę. Nie ma rady. Albo wrzucę do kosza.

Jerzy Krzysztoń



Zygmunt Mikulski

SEN



A do tej drogi musi być już blisko —
może za drzewem, może za czekaniem,
noc patrzy w księżyc, jak kudłate psisko.
Łąki muzyczne. To już wiesz: Cyganie.

Mkną konie mroku rozgrzane i kare,
kwitnienie w sadzie: upływ białej krwi.
Cyganie w wieczór włożyli gitarę,
tytonie wstają i motyle i

gwiazdy spadają w wiśnie i czereśnie,
księżyc odchodząc noc powierza plotom.
Latają pszczoły i zbierają we śnie
z cygańskiego grania brzęczenie i złoto.

To już ta droga. Zagubione koła
stoją oparte o sen i o mech.
Pachną zielone i zielone zioła
zapachem skrzyń i zapomnianych ech.

A jeszcze dalej nic nie było więcej.
Znasz rzeczy, które są nie wiedzieć jakie.
Ręce muzyczne — to są twoje ręce,
mak jak film z deszczu — to sen sypie makiem.

Zygmunt Mikulski

Kazimierz Andrzej Jaworski

PRZED ZASNIĘCIEM

Dziś wiersza nie napiszę. Po co mącić ciszę,
co rozlała się w sercu mym pełnią spokoju.
Zamknę oczy. Jam — jeleń. Przez myśli komysze
łanią skradniesz się do wodopoju.

Już cię mam. Już cię trzymam. Nie wyrwiesz się łatwo.
Księżyc wschodzi nad chmurą, trzcina ciemni się buro,
gwiazdy błyszczą już pierwsze.
Jeleń, łania, komysze — wszystko wtapia się w ciszę.
Już płyniemy oboje snu tratwą.



DO ERATO

Erato, z siostr dziewięciu najbardziej wybrana,
oto pali ofiary ci niegodny czciciel:
od poranka do nocy, od nocy do rana
w rytm pieśni twej kształtować usiłując życie.

Czy jesień deszczem płacze, czy styczeń się śnieży,
w majową noc słowiczą, w rozbrzęczone lato
u stóp twych wciąż wyznawca bałwochwalczo leży,
z siostr dziewięciu najbardziej wybrana, Erato.

O N O

Nie szukałem — przyszło samo.
Staw był cichy i skupiony,
w sobie samym zatopiony.
Poruszyło nagle tamą.

I rozwarły się upusty,
i zawrzało rwącą wodą,
zakipiła wiosną młoda
na świat chłodny, ży i pusty.

Nie czekałem — z góry spadło
i dmuchnęło w popielisko,
i buchnęło znów ognisko
ozlaczając twarz poblada.

I piekielne czyniąc czary
rozżagwiło łuną chmury,
aż dym leciał siwopióry
od ogniska, od ofiary.

Woda — żywioł, żywioł — ogień,
rozszałały się żywioły:
szum radosny, trzask wesoly
na uciechę leśnych bogiń.

Odmęt porwie, płomień spali,
lecz nad wirem, ponad łuną
ktoś potrąci mocno sęruną
i podniesie, i ocali.

Kazimierz Andrzej Jaworski



SPRAWA NIETY

NIKT NIE WIEDZIAŁ

Stają kolejno przed stołem sędziowskim. Jest ich pięciu. Dwaj siedemnaście-, trzej szesnastoletni chłopcy, uczniowie wieczorowej szkoły podstawowej dla pracujących.

Sędzia odczytuje akt oskarżenia. Lista dokonanych lub usiłowanych przestępstw jest długa.

Kradzież czterech torebek damskich pozostawionych na parapecie okna kawiarni „Lublinianka“, piętnastu kilogramów kielbasy z restauracji, ośmiu i pół (!) par obuwia, czekolady, papierosów, wina i pieniędzy z kiosków. Padają nazwy ulic, na których dokonano włamań. Krochmalna, M. Buczka, Młyńska, 1 Maja i wreszcie Aleje Racławickie.

Stoją przed stołem sędziowskim „fachowcy“ od kiosków.

Do winy przyznają się, ale jak do tego doszło?

Krępy, dobrze zbudowany Ryszard Nózka mocno zaciska ręce, aż skóra na palcach staje się zupełnie biała. Z niepokojem ogląda się na siedzących poza nim kolegów. Na pytanie, kiedy dokonał po raz pierwszy kradzieży, wrzusa ramionami i spogląda spod oka na papiery leżące na stole, a potem na twarz sędziego. Odpowiada niewyraźnie, monosylabami.

— Kto wpadł na pomysł kradzieży torebek z okna kawiarni?

— Nie pamiętam — rzuca ostro.

Wśród przytłaczającej ciszy słychać ciężkie westchnienie matki.

— Więc jak to było?

Sędzia Górna badawczo patrzy w oczy, które umykają gdzieś w bok lub uparcie tkwią w podłodze.

Trudno, bardzo trudno odpowiada się na takie pytanie. Kradło się jakoś łatwo, ale gdy trzeba teraz opowiedzieć o tym, to tak ciężko...

— Weszliście do kawiarni?

— Nie.. Okna wychodzą na ulicę. Jedno było otwarte wtedy. Leżała na nim torebka, a myśmy tam stali..

— I ty zaproponowałeś, żeby ukraść?

— Nie. Przechodził jakiś człowiek i powiedział: co, może torebkę chcecie ukraść? To myśmy pomyśleli, że przecież można..

— Czy wszystkie cztery ukradliście tego samego dnia?

— Nie. Każdą innego dnia..

— Dlaczego dokonywałeś kradzieży?

Milczy.

— Nie wstydziliście się tego?

Znowu milczy, a po chwili ponownie wrzusa ramionami.

— Tak się kradło..

Sledzi czujnie każdy ruch ręki sędziego. Matka nie wiedziała o tym. Pracował w hucie szkła i zarabiał pięćset złotych. Tuż przed aresztowaniem był już palaczem i miał otrzymywać tysiąc sto złotych. Do ZMP? Nie, nie należał. Książki? Mało czyta, ale lubi te o walkach i przygodach, a „Biały brat“ to dobra książka, a wódz Indian podobał mu się, bo chciał pokoyo, nie chciał walczyć.

Przed stołem staje Waldemar Augustynowicz, nad wiek wyrosły, szczupły jasno-blondyn. Twierdzi, że do kradzieży namówił go Nózka, Czy myślał o obraniu sobie zawodu? Tak. Chciał zostać szoferem, ale był za młody. Do ZMP nie należał. Co porabiał w wolnych chwilach?

— Chodziłem po dworze..

— Czytałeś książki?

Nie. Miał nawet ochotę czytać, ale ładne, zresztą nie miał ich skąd wziąć.

Z głośnym westchnieniem staje rumiany, ładny chłopak i nerwowo zagryza wargi. Kazimierz Król przeżywa głęboko. Inicjatorem wypraw był Nózka. Opowiadał mu, że już „obrobił“ jeden kiosk i poszło. Czy nie bał się? Tak. Kazik bał się, bo jak złapią, to wstyd. Nie, o tym, że to czyjaś krzywda, jakoś nie pomyślał wcale. Dopiero jak od pozostawionej świeczki spłonął kiosk przy Alejach Racławickich, to pomyślał, że trzeba z tym skończyć. Co robił w wolnych chwilach, sam nie bardzo wie. Książek nie czytał, bo po co? Czy rozumie, co to jest zło? Pewnie. Kiedyś tak się złożyło, że uratował życie człowiekowi, który byby się utopił. A przecież, gdyby wtedy Kazik patrzył tylko i nie pomógł, to byłoby zło..

Stanisław Żebroń to sierota. Jest drobny, o bystrych, inteligentnych oczach. Odpowiada śmiało i zdecydowanie. Kradł z namowy. Czy nie myślał o tym, żeby przestać?

— Tak, ale to było.. bo ja wiem.. jeszcze gorsze jak tchórzostwo. Bałem się, że jak odejdę od nich, to mnie będą bili. Nózka nie bardzo był dla mnie dobrym kolegą i mnie się nikt nie bał. Chciałbym się uczyć. Interesują mnie książki naukowe.

— Jakie na przykład?

— Czytałem ostatnio Kalinina „Wychowanie komunistyczne“.

— Jaka treść tej książki?

— Jak żyć, żeby być dobrym człowiekiem. A ja chcę być człowiekiem.

Pracował cztery miesiące w SP i pragnął zostać traktorzystą, ale nie mógł uzyskać metryki urodzenia, więc nie przyjął na kurs. Ukończył natomiast kurs języka rosyjskiego pierwszego stopnia. Do ZMP należał tam, w SP, ale po powrocie za-

LKO MŁODZIEŻY

przyjaźnił się z Nóżką i pozostałymi, więc o ZMP nie myślał już.

Władysław Grzegorzczak jest niski, blade, o straszonych oczach. Odpowiada monosylabami z jękiem. Początkowo chodził z nimi na kradzież, ale później to już bał się. Zaciska usta i nerwowo szuka po kieszeniach chusteczki. Podnosi ją nagle do oczu, z których płyną łzy. Nie, nie robi już tego nigdy...

Nóżka i Augustyniak wymieniają znaczące spojrzenia i ironiczne uśmiešky. Ale mężczyzna z tego Władka...

Rodzice oskarżonych są zdziwieni, zaskoczeni, o niczym nie wiedzieli, bo skąd? Synowie byli dobrymi dziećmi.

Matka Nóżki, wdowa, twierdzi, że to koledzy wciągnęli jej syna na złą drogę. Czy wiedziała, jacy to koledzy, czy znała ich? Syn mówił, że to dobrzy koledzy, więc mu wierzyła.

Matka Augustynowicza wiedziała wprawdzie, że jej syn ma za dużo papierosów, ale powiedział, że nie kosztują go drogo, więc się uspokoiła. Ojciec nie miał czasu zająć się chłopcem, bo pracuje na dwie zmiany. Że na wódkę ma czas? No, jak są imieniny, to trzeba.

Imieniny wypadają dość często, kilka razy w miesiącu, a tymczasem syn siedzi na ławie oskarżonych.

Gdy obrońca pyta, czy znalazłby czas dla syna, gdyby go zwolniono, odpowiada szybko, że tak, że rzuciłby nocną zmianę, a pozostał przy dziennej tylko.

Rodzice Króla zgodzili się na to, by ich syn przeniósł się ze szkoły dla pracujących do szkoły

wieczorowej, chociaż nie pracował nigdzie. Dogażdało im to, bo mógł pomagać w domu (mają 4 ha ziemi), a nawet od czasu do czasu wyjechać końmi na „zarobek“ za ojca.

Kiedy Władek Grzegorzczak oświadczył matce, że nie będzie chodzić do szkoły specjalnej, ponieważ się wstydził, nie zaoponowała. Chłopak się uparł i sąsiadka powiedziała, że nie wszystkie dzieci muszą się uczyć. Ojciec twierdzi, że opiekował się dostatecznie, bo zarobki oddawał żonie i zawsze pytał, gdzie jest chłopiec, jeśli nie zastał go w domu.

Rodzice są bardzo zdziwieni, gdyż nic nie wiedzieli.

Dopiero teraz, na rozprawie okazało się, że to nie tylko sprawa ich dzieci, ale i ich samych. Tolerancją i naiwnym zaufaniem dopomogli swym synom do tego, że siedzą na ławie oskarżonych jako pospoliccy przestępcy, złodzieje i włamywacze, jako członkowie zorganizowanej szajki, która z czasem przekształciłaby się w bandę nie wahałą się przed niczym.

A zaczęło się od tego, że chłopcy nie wiedzieli, co robić w wolnych chwilach, jak spędzić czas. Wałęsali się, łazili i gdy nadarzyła się sposobność, ukradli torebkę. Udało się. Trzeba teraz kioski. A rodzice nie wiedzieli i szkoła także, i instytucje, w których niektórzy z nich pracowali.

Sąd skierował młodocianych przestępców do domu poprawy. Grzegorzczak, jako opóźniony w rozwoju, został zwolniony.

zar

Maria Szczepowska

TRUDNI RODZICE

W budce, która na stacji Puławy—Miasto jak może, tak udaje przystanek kolejowy, czekaliśmy na pociąg: pijany, koza i ja. Żelazny pieczyk stojący po środku zbitych z desek ścian, dla ciepła chyba oklejonych plakatami, przemarzył do samego rusztu. Dawno tu widać nie palono, bo wiatr, który z diabelską złośliwością wślizgiwał się w rure, wydmuchiwał na poczekalni nie popiół dla sadzę, tylko rdzę. Widocznie rura pordzewiała nawet od środka.

Koza chwając chudym pyskiem ze smutkiem patrzyła na swego właściciela, trzymającego ją na sznurku. Właściciel oparty plecami o nadszarpany plakat, na którym bardzo obrazowo wyobrażone były skutki pijaństwa, to mrucał coś, to zasypiał.

Była godzina 23 min. 15, mróz skrzypiał w jakichś krokach, które przechodziły obok niegościnniej poczekalni, i trudno było sobie wyobrazić, co o tej porze, zimą, robi tu człowiek z kozą. Chyba nie wyprowadził jej na trawkę.

Nagle zadudniły szybkie, drobne kroki. Drzwi pchnięte z rozmachem omal nie wyskoczyły z zawiasów i do poczekalni wpadło dwóch chłopców. Starszy miał chyba dziesięć lat, młodszy siedem czy osiem. Obaj z wielkim zainteresowaniem pochylili się nad czymś. Młodszy nawet przykląkł.

— Cholera, zsuwa się i zsuwa — powiedział starszy.

— Snurowadło pękło.

— Zwiąże.

— Nie zwiążesz. Za krótkie.

Rozejrzeli się po poczekalni. Miny mieli poważne i zaafierowane. Jedna, jedyna łyżwa, z której korzystali we dwóch prawdopodobnie w ten sposób, że gdy jeden się ślizgał, drugi biegł obok, nie chciała dłużej trzymać się na nodze. Sznurowadło, którym były związane dawno podarte rzemyki, pękło. Starszy jeszcze raz rozejrział się po poczekalni.

— Patrz, — powiedział — ojciec ma drugą. A wykręcał się że, zgubił. Kłamie.

Zesliznął się z ławki, podszedł do właściciela kozy, położył obok niego łyżwę z podartymi rzemieniami, a drugą, która sterczała z kieszeni uszpieniem, wyciągnął zdecydowanym ruchem. Chłopcy umocowali łyżwę na nodze starszego i wybiegli. Właściciel kozy poruszył się. Widocznie zdawało mu się, że rozmawia z żoną, bo podniósł głos: Jak ja biorę dzieci pod opiekę, to czego ty się czepiasz? Ty byś wszystkich na łańcuchu...

A więc prawdopodobnie to był jego pomysł — ten spacer z kozą i to wyprowadzenie dzieci o północy na ślizgawkę. Schowana łyżwa to dalszy ciąg pijackiej konsekwencji.

Właśnie zagwizdał pociąg. Wysłał na peron. Pociąg minął semafor i wjechał na stację. Była godzina 23 min. 30.

Scenę zaobserwowaną na stacji w Puławach opowiedziałam znajomej nauczycielce. Cały czas kiwała głową.

— W pedagogice istnieje termin — powiedziała wreszcie — trudne dziecko. W węższym zakresie oznacza on dzieci, które z racji wrodzonych dyspozycji psychofizycznych są trudne do wychowania, w szerszym także te, które od małego były źle wychowywane w domu i u których z biegiem lat coraz trudniej wykorzenić złe nawyki. Właściwie powinien być także drugi termin — trudni rodzice. Ojciec, o którym pani opowiadała, niewątpliwie należy do tej kategorii.

— Czy dużo jest takich właśnie „trudnych rodziców“?

— Nie mogłabym ustalić procentu. Zresztą my, nauczyciele, tylko w przybliżeniu wiemy, czy rodzice dobrze, czy źle wychowują swoje dzieci.

Oczywiście rzucają się w oczy jaskrawsze, bardziej charakterystyczne wypadki. Kiedy dziecko źle zachowuje się w szkole, zaniedbuje naukę, kontaktujemy się z domem i wtedy najczęściej wychodzi na jaw, że nie dziecko jest winne, tylko albo złe warunki, albo brak opieki nad nim. Najczęściej, mówię, bo za nieumiejętność poprowadzenia naprawdę trudnych dzieci, które od małego przejawiają złe skłonności, nie można zrzucić odpowiedzialności na rodziców. To są jednak dość rzadkie wypadki i takie dzieci zawsze można skierować do szkół specjalnych. Najważniejsza jednak sprawa to sprawa dzieci normalnych, od małego źle wychowywanych w domu. Powtarzam, nawet w mojej klasie trudno by mi określić, jaki one

stanowią procent ogólnej liczby uczniów. Jeżeli weźmiemy pod uwagę tylko najczarniejsze przykłady, to procent ten nie będzie wysoki, będzie się wahał od 5 do 10. Wystarczy to jednak, żeby służył jako sygnał ostrzegawczy. Chodzi przecież o dzieci. A trzeba też przyznać, że ogólny poziom wychowania zarówno domowego jak szkolnego jeszcze dużo pozostawia do życzenia.

Zajmijmy się więc trudnymi dziećmi i ich rodzicami na razie tylko z jednej szkoły.

Szkola podstawowa, o której mówimy, mieści się w dzielnicy Lublina jednym skrzydłem dotykającej śródmieścia, drugim dalszych jego peryferii, a nawet okolicznych wiosek. Większość stanowią dzieci drobnych urzędników i tej niezbyt dobrze uposażonej inteligencji pracującej, jak np. nauczycielstwo, poza tym spory jest procent dzieci pracowników fizycznych i zupełnie nieznaczny dzieci rolników podmiejskich. Wypadków



jaskrawej, rzucającej się w oczy nędzy nie ma, zdarzają się natomiast bardzo złe warunki mieszkaniowe, zdarza się też, że zarobek ojca nie wystarcza na utrzymanie rodziny i oboje rodzice pracują, z konieczności wobec braku czasu pozostawiając dzieci bez opieki. Zdarzają się samotne kobiety, którym praca zarobkowa pochłania tyle czasu, że już nie ma go dość na zajęcie się gospodarstwem i wychowaniem dzieci. To ogólne bóleczone. Przyjrzyjmy się teraz poszczególnym wypadkom.

Drugoroczny Kazik z kl. VI jest „za dorosły“ jak na swoją klasę i właśnie dlatego trzyma się na uboczu. Nie bierze udziału w życiu kolegów. To poczucie starszeństwa i dorosłości stanowi jego wewnętrzną tragedię. Umie mniej niż reszta klasy

i to stawia go poniżej poziomu tych najmłodszych. Pisz fatalnie. Trudno mu nadrobić braki w nauce, trudno, mając te braki, nadażyć nawet za przerwaniem już drugi rok materiałem „Dorosły” niemądry wśród mądrzejszych smarkaczy — powstaje coś w rodzaju kompleksu niższości. Na tle tego kompleksu niższości rodzi się zuchwalstwo.

— Chodź do tablicy — wzywa go nauczycielka — napisz jeszcze raz poprawnie to, co źle napisałeś w zeszyście.

— Nie pójdę — odpowiada. — Pani chce mnie ośmieszyć przed wszystkimi.

Wie, że nie umie pisać, i wstydzi się tego.

Rodzice, kilkakrotnie wzywani do szkoły, stawiają się na co drugie, co trzecie wezwanie. Dają odpowiedzi wykrętne i niejasne, z których trudno coś wynioskować. Oboje pracują: on w fabryce, ona w biurze jako sprzączka — mają niewielkie podmiejskie gospodarstwo. Gdzie znaleźć czas, żeby przypilnować, czy syn odrabia lekcje, czy nie. Dopiero od dzieci wychowawczyni dowiaduje się reszty. Ponieważ rodzice Kazika pracują, on musi zająć się gospodarstwem, bo jakże inaczej — wszystko by przepadło. Tak więc piętnastoletni Kazik obrządza świnie, uprawia ogród, sprząta i gotuje. Nie dziwnego, że po takim pracowitym dniu jest apatyczny, senny i ospały, że rzadko ma odrobione lekcje i niewiele umie. W dodatku z natury nie jest zdolny.

Czy warunki domowe Kazika są tak złe, że musi on aż tyle pracować? Czy jest w tym wszystkim jednak dużo winy jego rodziców? Wydaje się, że raczej to drugie. Ale jak trafić do ludzi tak pochłoniętych pracą, że nawet piętnastoletniego syna traktują tylko i wyłącznie jako narzędzie robotcze?

Janinka z kl. II chodzi zawsze brudna i obdarta. Jest leniwa, nieposłuszna, kłania i wykręca się od lekcji. Zauważono, że łapczywie rzuca się na jedzenie. Komitet rodzicielski zainteresował się nią, czyby nie należało przyznać jej dożywiania — wygląda tak biednie. Trójka z sekcji wychowawczej była u niej w domu.

— To, co tam zastaliśmy, zaskoczyło nas — opowiada jeden z członków komitetu rodzicielskiego. — Warunki mieszkaniowe fatalne, ciasnota, zaduch, brak światła. Przy tym brud i nieporządek taki, że już najgorszymi warunkami nie można go wytłumaczyć. Rodzice Janinki, oboje podchmieleni, siadali właśnie do kolacji. Na stole nie pokrajano, ale połamano na kawałki chleb, pełno okruszków, masło i kilka gatunków wędlin w zatłuszczonych papierkach. Obok tego zeszyty i jakieś szmaty. Jedzenia w bród, tylko wszystko obrzydliwie niechlujne.

Rozmowa z rodzicami nie daje żadnego rezultatu. Nie rozumieją, czego się chce od ich dziecka, jakim prawem komitet rodzicielski łączy po cudzych domach. Dalszy wywiad daje jednak rezultaty. Rodzice Janinki nigdzie nie pracują, mimo to od czasu do czasu odbywają się u nich libacje, na

które nie wiadomo skąd są pieniądze. W protokół zanotowano nawet, że oboje prowadzą się niemoralnie.

Czy tacy rodzice mogą dać wychowanie małej? Czy wobec takiej sytuacji dożywianie przyznane Janince w jakimkolwiek stopniu rozwiązałoby sytuację? Chyba nie. Raczej należałoby zastosować najradzykalniejszy środek — odebrania dziecka z domu i oddania go do zakładu wychowawczego.

— Niech ich szkoła wychowuje, bo ja już sobie rady dać nie mogę — mówi matka dwóch chłopców z kl. III i IV. Chłopcy są rozpuszczeni jak bicze cygańskie. Rej wodzą w kółku sportowym, ale to ich jedyna zasługa. Poza tym obaj palą papierosy i piją. Na nich właśnie cięży podejrzenie o skradzenie z pobliskiego kiosku butelki wina i kilkunastu ciastek. Bardzo prawdopodobne, że to ulubione menu wszystkich wymarzonych przez chłopców w tym wieku libacji stało się ich łupem. Niejasna też jest sprawa związana z pewną nocną eskapadą. To fakt, że jesienią, kiedy jeszcze było ciepło, obaj uciekli z domu i nocowali w jakiejś pieczarze w wąwozach nad rzeką. Robinsonada — pomyślałby ktoś pobłażliwy. Gorzej jednak, że w grę wchodzi tajemnicze kury. Są świadkowie na to, że obaj bracia przed udaniem się na spoczynek piekili sobie na ogniu kury. „Świadkowie” to brzmij trochę groteskowo, kiedy się mówi o dziecinnych przestępstwach, ale w tych przestępstwach tkwi jedno obok drugiego: groteska obok niebezpieczeństwa. Najtrudniejsza rzecz to wiedzieć, kiedy nie tylko można, ale i trzeba śmiać się razem z dziećmi, a kiedy trzeba mówić z nimi surowo i poważnie.

Skąd te kury? Obaj chłopcy patrząc nauczycielce prosto w oczy oświadczają zgodnie, że kury wyciągnęli ze śmietnika. Zeznanie ich nie rozprasza jednak wątpliwości. Kto by wyrzucił kury do śmietnika? Chyba że zepsute. Zza rzeki nie dochodzą skargi na kradzież drobiu, ale mimo to sprawa wygląda niejasno. Jedno wydaje się niewątpliwe. Obaj chłopcy znajdują się na tej pochylni, z jakiej od lekkomyślnej robinsonady łatwo stoczyć się w chuligaństwo. Są w tym wieku, że można ich jeszcze zawrócić ze złej drogi. Trzeba tylko trafić do ich dusz żądnych przygód, gry w piłkę, wina i potajemnie pieczonych kur.

Matka przyznaje, że synowie wymknęli się jej z rąk. Robią co chcą, ona nie ma na nich wpływu. Tyle, że jedzą i nocują w domu, a i to nie zawsze, jak świadczy o tym ta nie pierwsza zresztą nocna wycieczka. Matka jest samotna, pracuje. Dawniej nie miała dość czasu, żeby zająć się dziećmi. Wyrzuca to sobie, a teraz czuje się po prostu bezradna. Kto jej pomoże?

Staś z kl. VI jest bardzo zdolny, zwłaszcza w przedmiotach humanistycznych, nie znaczy to jednak wcale, że uczy się dobrze. Przeciwnie, pod-

kreślone czerwonym atramentem zeszyty, a także dwójce w dzienniku mówią co innego. W czasie lekcji jest nieznosny, rzuca w kolegów czym się da, hałasuje, szczyrzykiem wycina na ławce napisy nieortograficzne i nieprzyzwoite. W czasie paury nieraz przyłapano go na tym, jak dziko wrzeszcząc skakał po pulpach, bił dziewczynki i targał je za włosy. Wagaruje. W zeszłym roku zjawiał się w szkole trzy czy cztery razy w tygodniu.

Matka raz i drugi nie przyszła na wywiadówkę. Dała znać przez syna, że właśnie ma zebranie. Tymczasem Staś coraz rzadziej zjawiał się w szkole. Wobec tego trójka z sekcji wychowawczej komitetu rodzicielskiego poszła do niego do domu. Tak się szczęśliwie złożyło, że członkowie komitetu rodzicielskiego zastali matkę Stasia w domu, choć ona tu rzadko bywa. Jest przodownicą pracy, aktywnym członkiem partii, ciąży na niej moc różnych obowiązków społecznych i zawodowych. Jest dumna ze stanowiska, jakie zajmuje, nie rozumie tylko, czego delegacja komitetu rodzicielskiego chce od jej syna. Nauczycielka przyczepiła się do Stasia. Staś to dobre i posłuszne dziecko. O tym, że chłopiec wagaruje, słyszy po raz pierwszy — zresztą nie wiadomo, czy to prawda. Znowu chcą go skrzywdzić, postawić zły stopień — może jeszcze ze sprawowania? Po długich perswazjach obie strony dochodzą do pewnego porozumienia. Matka zobowiązuje się pilnować, czy Staś rzeczywiście chodzi do szkoły, czy nie. Między matką i wychowawczynią w dzienniczku Stasia wywiązuje się korespondencja. Chłopiec jest kontrolowany w domu i w szkole. Daje to pewne rezultaty. Przestaje wagarować. Jego wychowawczynie kręci jednak głową — Dobrze, że już nie ucieka z lekcji — mówi — ale to naprawdę jeszcze niewiele. W jego zachowaniu i w nauce nie widać żadnej poprawy. Skąd się to wzięło, że do naszej korespondencji w dzienniczku zakradł się jakiś formalizm? Matka pilnuje, żeby syn chodził do szkoły, ale czy on odrabia lekcje, co robi w domu i poza domem — o tym zupełnie nie myśli. Trzeba jej ciągle przypominać, żeby zajęła się wychowaniem syna. Przecież szkoła sama wszystkiego nie zrobi.

Mówiąc o wychowaniu młodzieży często, słusznie zresztą, mówimy o wychowaniu w szkole, w organizacjach młodzieżowych, świetlicach. Trzeba też jednak mówić o tych, których nazwalimy trudnymi rodzicami. Do nich też można trafić i można na nich wpłynąć. Nie tylko można, ale i trzeba.

Nazywa się to tak szumnie: akcja pedagogizacji rodziców. I w ramach tej akcji zrobiono już niejedno. W niektórych szkołach prowadzono pogadanki z zakresu pedagogii, najczęściej dla rodziców przybyłych na wywiadówkę. Pewne osiągnięcia

mają za sobą dobrze działające sekcje wychowawcze przy komitetach rodzicielskich, zwłaszcza wtedy, gdy są rzetelnym pośrednikiem między szkołą a domem. Wychowawcy w rozmowach indywidualnych z rodzicami szukali najwłaściwszych metod wychowawczych w stosunku do ich dzieci i to bodaj że dawało najlepsze rezultaty, oczywiście wtedy, gdy brał się do tego doświadczony pedagog. Ale to wszystko jeszcze mało. Pracę tę trzeba rozszerzyć, trzeba ją napełnić serdeczną troską o wychowanie młodego pokolenia.

Z początkiem 1956 r. utworzono przy Instytucie Pedagogiki w Warszawie komórkę wychowania rodzinnego, która ma zająć się tymi sprawami. Mówi się o zorganizowaniu całej sieci poradnictwa, którego pierwsze ogniwa mieściłyby się w każdej szkole, następnie przy powiatowych i wojewódzkich wydziałach oświaty. W Warszawie i paru innych większych miastach powstały już takie poradnie. Powstały też pierwsze Niedzielne Uniwersytety dla Rodziców. Nasz lubelski NUR najwcześniej rozpoczął pracę. Warszawa i Staliność przy organizowaniu swoich uniwersytetów częściowo korzystały z naszych doświadczeń.

Komitet organizacyjny lubelskiego NUR zawiązał się w grudniu. W skład jego weszli przedstawiciele komitetów rodzicielskich i dyrekcji szkół podstawowych oraz przedszkoli. Kilka instytucji obiecało złożyć fundusze potrzebne do uruchomienia tej placówki, w rezultacie tylko komitety rodzicielskie nie zawiodły, inne instytucje poprzestały na obietnicach. W dn. 22 stycznia rb. odbył się inauguracyjny odczyt prof. Tadeusza Nowogrodzkiego pt. „Uwzględnienie faz rozwojowych dzieci w procesie wychowania”. Wkrótce potem nastąpiło 5 dalszych prelekcji z dziedziny psychologii rozwoju dziecka i metod wychowawczych. Średnia frekwencja na każdym odczycie wynosiła od 90 do 100 stałych słuchaczy, rekrutujących się spośród członków sekcji wychowawczych istniejących przy komitetach rodzicielskich.

Niewątpliwie utworzenie NUR jest dużym krokiem naprzód w dziedzinie zainteresowania społeczeństwa sprawami wychowawczymi. Dalszym krokiem naprzód byłoby utworzenie poradni dla rodziców, która mogłaby zająć się już konkretnymi wypadkami. Niestety, NUR walczy z dużymi trudnościami finansowymi. Dopóki nie znajdą się fundusze na pokrycie potrzeb Niedzielnego Uniwersytetu dla Rodziców, trudno myśleć o utworzeniu poradni, a wydaje się, że i jedno i drugie jest konieczne. Jest przecież tyle rodziców, którym trzeba przyjść z pomocą w najtrudniejszej sprawie — wychowania dzieci.

Maria Szczepowska

CYFRY, KTÓRE BIJĄ NA ALARM

Jedenaste lat trwa dyskusja na temat literatury współczesnej i jej poziomu. Jedenaste lat wydajemy cenzurki rozdającym się jak grzyby po deszczu dzielom naszym literatów. Gdyby policzyć pozytywne tylko recenzje powojennych książek — trzeba by postawić tezę, że w okresie od 1945 do 1956 r. powstało znacznie więcej dobrych pozycji, niż w ciągu wszystkich razem epok literackich w Polsce. Można by się było spodziewać także i tego, że arcydzieła ostatnich dni zastąpią Lalki, Potopy, Przedwiośnia, w których przecież aż się roi od „katastrofalnych“ błędów ideologicznych.

Ale tu rzeczywistość mówi: nie! Marksistowska zasada jedności treści i formy w rękach czytelnika (nie krytyka!), jak brakarz odrzuca jedną książkę po drugiej, przypominając autorom, że nie wystarczy być nawet najbardziej dojrzałym i skryzalizowanym marksistą, aby pisać książki. Trzeba być ideologiem, owszem, ale ideologiem — artystą. I tu aż się prosi o przypomnienie świętego polonisty Juliusza Słowackiego, który w liryczną formę „Grobu Agamemnona“ czy „Do autora trzech psalmów“ potrafił wlać jakże gorącą treść ideową. A przecież nawet najwięksi formalści nie odważyli się narwać tych utworów publicystyka. Gdyby wystarczała sama ideologia... Tak, wtedy „najlepiej“ utworami „literackimi“ byłyby chyba artykuły i przemówienia z prasy codziennej...

Przejdźmy jednak do faktów. Leży przede mną plik zapisanych gęsto kartek, anonimowych ankiet studentów I roku polonistyki UMCS w Lublinie, zebranych w bieżącym roku akademickim. Tu właśnie kryją się fakty.

Na wstępie chciałbym zaznaczyć, że szczerłość i anonimowość, solidne ich opracowanie, znajomość i kontakt z jej autorami, utrzymywane przez prowadzenie zajęć dydaktycznych na I roku, a przede wszystkim konfrontacja ankiet z odpowiedziami z egzaminu wstępnego i egzaminu z literaturoznawstwa — pozwalają traktować ankietę z zaufaniem.

Najważniejsza jest dla nas oczywiście sprawa, czy młodzież w ogóle często czyta.

Na 38 uczestników ankiety — 26 czyta prawie codziennie, co daje w efekcie 1—2 książki (poza lekturą) tygodniowo. Pozostałe 12 osób czyta rzadziej. A więc poza lekturą młodzi poloniści czytają rocznie 50—100 książek, biorąc zaś pod uwagę fakt, że studenci mogą czytać właściwie tylko wieczorem, trzeba stwierdzić, że nie jest to liczba mała. Trudno w zasadzie od studentów I roku wymagać jakichś skryzalizowanych zainteresowań, a jednak fakty są bezsporne: 30

głosów za prozą, 7 za poezją i 1 za dramatem. Tej zdecydowanej przewadze prozy nie ma się co dziwić, w starszym społeczeństwie jest przecież prawie analogicznie. Ciekawiej natomiast przedstawia się ulubiona problematyka młodzieży. Aż 32 osoby na pierwsze miejsce wysunęły powieść historyczną. Amatorów przygód i podróży było 23, a tzw. powieści młodzieżowych oczekuje 16 osób. Powieść współczesna, podobnie jak fantastyczna i romans — zyskały po 13 głosów, nauka — 10, a na samym końcu znalazły się utwory kryminalno-sensacyjne — z 2 głosami.

Gdzie szukać przyczyny tego żywego zainteresowania problematyką historyczną i podróżniczą wśród młodzieży?

Zjawisko to jest najzupełniej normalne. Spotkanie z książką dokonuje się przecież głównie za pośrednictwem szkoły. W szkole zaś panuje specyficzny podział literatury; są książki ciekawe i nudne, obowiązkowe i czytane „po cichu“. Co decyduje o etykietce czytanej przez młodzież powieści?

Okres dojrzewania cechuje m. in. chęć uczenia czegoś wielkiego, szuka się wtedy swoich ideałów, czci wielkich ludzi i wielkie idee. W tym właśnie okresie do rąk młodzieży trafiają takie pozycje „obowiązkowej literatury“, jak: „Trylogia“, „Krzyżacy“, „Młoda gwardia“ itd. Być sławnym jak Wołodyjowski lub przemienić się w uwielbianą przez Zbyszka Danuskę — oto marzenie bardzo powszechne i bardzo oderwane od rzeczywistości, ale jakże ważne i potrzebne.

Lektura szkolna jest jednak często „nudna“ i zawsze jest „lekturą“. (Zjawisko, którego nie trzeba chyba dowodzić: ta sama książka przeczytana zaraz po maturze, a więc gdy przestała być obowiązkowa, inaczej, lepiej „smakuje“). Przecież, pomijając program klas niższych, klasa IX zaczyna od średniowiecza i naprawdę trudno wymagać, aby młody chłopiec rozczytywał się w „Legendzie o św. Aleksym“, czy nawet w Pieśniach Jana Kochanowskiego. Będzie na to czas później. Dopiero romantyzm i oczywiście Pozytywizm potrafią przełamać nieufność ucznia do lektury. Ale to już program klasy X, a więc zespołu młodych, prawie „dorosłych“ (za rok matura) ludzi, którzy nie mogli czekać na „swoją“ książkę aż tak długo i znacznie wcześniej s a m i wyruszyli na jej spotkanie. Rezultat? Obok Kmicica czy Wołodyjowskiego pojawiają się nowe ideały: Staś Tarkowski, Nelly Rawlison, kpt. Nemo, Robinson Crusoe i inni. A zatem książka dochodzi do młodego czytelnika dwoma torami: po przez szkołę i na drodze własnych poszukiwań. Ten drugi tor jest głównie wynikiem braku w lekturze szkolnej

wystarczającej liczby książek odpowiadających młodzieży w danym okresie rozwoju i zaspakajających jej potrzeby. Nie bez znaczenia jest także coraz większe dążenie do samodzielności wśród dorastającej młodzieży, która nienawidzi cenzorów przeglądających jej książki. I tu właśnie, w tej dwutorowości zdobywania książki tkwi pozory tylko — moim zdaniem — paradoks, wyrażający się tym, że obok Pawki Korczagina czy Szczęsnego ulubionym bohaterem młodzieży jest Zagłoba czy Marek Czertwan („Dewajtis” M. Rodziewiczówny). Pozorny dlatego, że młodzież szuka przede wszystkim wielkich bohaterów, nie zaś przedstawicieli tej lub innej ideologii. Potrafi jej zaimponować swoim sprytem i humorem Zgłoba, jak i bohaterską walką z hitlerowskim okupantem — Oleg Koszewoj.

Zresztą — niech mówią cyfry ankiety.

Najlepsze książki — zdaniem młodych polonistów — to dzieła klasyków literatury polskiej, wśród których rej wodzą Sienkiewicz, Prus, Mickiewicz, Żeromski i Orzeszkowa (zaskakuje tylko wysoka nota Rodziewiczówny). Jeden taki pisarz, jak Sienkiewicz, Żeromski czy Orzeszkowa — zyskał więcej głosów uznania wśród autorów ankiety, niż cała literatura Polski Ludowej. Literatura radziecka zdobyła 22 głosy, mniej niż Rodziewiczówna. O literaturze zachodnio-europejskiej lepiej nie mówić. Pierwsza w ogóle pozycja obca i zarazem współczesna radziecka znalazła się na ósmym miejscu, pierwsza zaś polska powieść współczesna nieco dalej. Tu komentarz jest zbędny. Zupełnie jasno widać, że młodzież zna się jednak na dobrej książce współczesnej, dowodem czego jest trafne wysunięcie na czołowe miejsce w literaturze polskiej — „Pamiętki z Celulozy”

WYKAZ NAJCHEŃNIEJ CZYTANYCH

L. p.	książek	Liczba głosów	pisarzy	Liczba głosów
<i>Literatura polska (klasyki)</i>				
1	„Trylogia”	28	Sienkiewicz	26
2	„Lalka”	17	Mickiewicz	24
3	„Nad Niemnem”	16	Żeromski	21
4	„Pan Tadeusz”	15	Orzeszkowa	19
5	„Krzyżacy”	14	Prus	18
6	„Przedwiośnie”	14	Kraszewski	15
7	„Popioły”	12	Słowacki	14
8	„Quo vadis”	9	Konopnicka	7
9	„Ulana”	9	Rodziewiczówna	5
10	„Wierna rzeka”	9	Korzeniowski	3
<i>Literatura polska współczesna</i>				
1	„Pamiętki z celulozy”	9	Neverly	8
2	„Kształt miłości”	5	Staff	7
3	„Obywatele”	2	Broniewski	5
4	„Astronauci”	2	K. Brandys	4
5	„Między wojnami”	2	Broszkiewicz	2
6	„Wraki”	2	Jastrun	3
7	„Mickiewicz”	2	Kruczkowski	3
<i>Literatura radziecka</i>				
1	„Młoda gwardia”	10	Fadiejew	5
2	„Jak hartowała się stal”	4	Polewoj	3
3	„Cichy Don”	5	M. Ostrowski	2
4	„Opowieść o prawdziwym człowieku”	2	Erenburg	2
5	„Zorany ugor”	2	Szołochow	2
6	„Kawaler Złotej Gwiazdy”	2	Babajewski	2
<i>Literatura zachodnia</i>				
1	„Hamlet”	5	Balzac	10
2	„Hrabia Monte Christo”	5	Hugo	6
3	„Pustelnia Parmeńska”	3	Szekspir	6
4	„Martin Eden”	2	London	6
5	„Ojciec Goriot”	2	Stendhal	5

a w radzieckiej — „Młodej gwardii”. Świadczy to o tym, że młody czytelnik nie da się zbyć byle czym i żąda od współczesności dzieł naprawdę wielkich. Niewątpliwie Neverly czy Tadiejew mogą być dumni z dużej poczytności i wysokiej oceny ich dzieł wśród młodzieży. Ale nie można tego powiedzieć o wielu innych pisarzach współczesnych.

W wykazie ulubionych książek zginęły chyba już bezpowrotnie nazwiska tej marki, co Max Brand, George Owens Baxter, Zane Grey, Eleonora Glyn, Irena Zarzycka, X. Pasławski, A. Marchwiński itd. Uderza brak książek o Duchach Puszczy, Sokolich Oczach, Lwiche Sercach, o walce „białych” z „czerwonoskórymi”. Zaginął ślad po brukowych romansidłach i kryminalnych bzdurach z cyklu „zabili go i uciekli”. Z pełną satysfakcją obserwuję fakt, że tego rodzaju ankiety — należą do rzadkości. To dobrze. Tak być przecież powinno. Jest jednak pewien objaw trochę niepokojący. Co się stało z wartościowymi powieściami tzw. młodzieżowymi. Wśród ulubionych książek trudno doszukać się przecież i dzieł takich pisarzy, jak: Verne, Umiński, Makuszyński, Meissner (poza „Wrakami”), Fiedler (!) i in. Czy aby nie odrzucono ich wraz z niepotrzebnym balastem bezwartościowych piśmideł, czy też po prostu młodzież chce innej książki? A może te książki nie docierają do rąk młodych czytelników.

W oparciu o magiczny krąg cyfr można odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: jakich książek pragnie młodzież współczesna i co czyta najchętniej? Oczywiście materiał zebrany na pierwszym roku polonistyki UMCS byłyby za skąpy do uogólnień, dlatego też musiałem skonfrontować go ze zbieranymi przez 5 lat materiałami na temat czytelnictwa wśród młodzieży zwłaszcza w szkole średniej i pierwszych latach studiów polonistycznych. Pozwoliło to na postawienie tezy, że bezwzględnie wśród najpoczytniejszych pisarzy wiodą prym klasycy: Sienkiewicz, Krasiński, Orzeszkowa, Żeromski, Prus. A więc główny trzon w czytelnictwie wśród dorastającej młodzieży stanowią dziś książki podane jej przez szkołę, książki, wybrane z długiej listy „nudnej lektury”. Fakt ten należy interpretować dwójako. Pozytywnie — bo świadczy o tym, że szkoła potrafi podsunąć młodzieży wiele ciekawych książek, że ma poważny wpływ nawet na zainteresowania ucznia itd. Negatywnie — bo świadczy o stosunkowo małej samodzielności ucznia, o tym, że po prostu często nie chce, albo nie ma czasu poszukiwać książek poza szkołą. Jest to w pewnym stopniu rezultat naszej polityki w stosunku do młodzieży w okresie X-lecia, polityki odznaczającej się tym, że często za młodzież się myślało, jej się dyktowało, a nawet... za nią robiło.

Tę samodzielność i brak twórczych poszukiwań, jakie cechuje dużą część naszej młodzieży, można wykorzystać. Trzeba jednak bardziej zaktywizować szkołę i pisma młodzieżowe, aby niezależnie od „obowiązkowej lektury” zachęcały młodzież do

czytania tych ciekawych książek, które są, ale trzeba ich szukać.

Wdzięczne pole do popisu mają tu oczywiście biblioteki. Wydaje się, że trzeba położyć większy nacisk na sygnalizowanie zwłaszcza w prasie nie tylko nowości, ale i pozycji wznawianych. Rzecz jasna, chodzi o krótkie notki bibliograficzne (nie recenzje), podające treść, zwracające czasem uwagę nawet na jakiś atrakcyjny szczegół, nie śląc się na „ocenę” dzieła, natomiast będące doradcą w poszukiwaniu ulubionego tematu. Jest jeszcze jedna bolączka, której zlikwidowanie wymaga tylko trochę pracy i dobrej woli bibliotekarzy. Chodzi o katalogi, które znajdują się we wszystkich bibliotekach i zdawać by się mogło, że wobec tego nie można im zarzucić, a jednak... Na palcach można policzyć biblioteki, które posiadają katalogi nie tylko alfabetyczne, ale i katalogi działowe. Młody chłopiec nie znający nazwisk pisarzy młodzieżowych nie znajdzie w katalogu alfabetycznym książek dla siebie. I tu trzeba stanowczo domagać się, aby uwzględniając zainteresowania młodzieży (a nawet starszych) — biblioteki mogły służyć katalogami działowymi, np. „powieści i utwory historyczne dotyczące Polski”, „Sport”, „Przygody i podróże” itd. W dalszej przyszłości — można by widzieć na każdej kartce katalogowej krótką notkę bibliograficzną, pozwalającą zapoznać się z problematyką utworu (przecież już dzisiaj robi to Biblioteka Narodowa). A zatem trzeba dążyć wszelkimi środkami do jak najszybszego i jak najgłębszego zbliżenia młodzieży do bibliotek przez ułatwienie jej poszukiwania ulubionych książek. Nie jest to jednak sprawa tylko bibliotek. Dużo grzechów na sumieniu posiada także szkoła. O ile bowiem dzieła literatury polskiej do XX-lecia włącznie są omawiane w szkole chętnie, o tyle bardzo często literatura współczesna jest przyswojony kopciuszkami (dowód rzeczowy: odpowiedzi kandydatów na studia polonistyczne na egzaminie wstępnym z 1955 roku). Szkoła nie potrafi zachęcić młodzieży do czytania literatury współczesnej. Co gorsze — często wręcz odstrasza od wzięcia do ręki dzieł wydanych w okresie X-lecia. Uczeń idąc śladami nauczyciela umie powiedzieć o literaturze współczesnej, że jest schematyczna, stoi na niskim poziomie artystycznym i zajmuje się tylko walką o wykonanie planów gospodarczych itp.

W podtrzymywaniu tego fałszywego sądu pomagają „oryginalny” dobór lektury. Proszę zwrócić uwagę na to, jakie książki współczesne czyta młodzież w szkole. Poza „Pamiętką z Celulozy” (31 czytelników), która ratuje honor naszej literatury, najbardziej znane dzieła to m. in.: „Stare i nowe” (także 31 czytelników), „Nr 16 produkuj” (27), „W rodzinie Lebedów” (15) itd. „Popiół i diament” — czytało natomiast tylko 7 osób, „Bieg do Fragala” — 5, „Nad Bugiem” — 4, „Niemcy”, „Maturzyści”, „Jul i Ethel” — znałoby jednego czytelnika. Nikt nie czytał „Ondrasz-

ka", „Złotego lisa", „Poety i dworzanina". Nie było amatorów przynajmniej jednego tomiku poezji Szyborskiej („Pytania zadawane sobie"), Iwaszkiewicza („Warkocz jesieni"), Staffa („Wiklina") itd.

Nawet powieści tzw. „młodzieżowe": „Sześciu z Daru Pomorza", „Sezam", „Wypsa Robinsona", „My z Targówka" i inne — nie znalazły czytelników. To nie są wyjątki, z czytelnictwem utworów współczesnych jest naprawdę źle. Przecież trudno zadowolić się takimi „osiągnięciami": „Gorąca wieś Ambinante" czyta jedna osoba, „Herkulessów" też jedna, „Jaworowy dom" — dwie, a „Księgę urwisów" — 4.

W sumie — na jednego czytelnika wypada zaledwie 15 pozycji z polskiej literatury współczesnej, przy czym tylko 6 osób przekroczyło tę granicę. Najmniejsza liczba przeczytanych książek wynosi 7, największa — 36. Uczestnicy ankiety wymienili tylko 94 tytuły utworów współczesnych. Analogicznie wygląda czytelnictwo literatury radzieckiej. Wprawdzie podano więcej tytułów (116), ale przeciętnie wypada po 11 książek na osobę (najmniej — 4, najwięcej — 73). Tu wyraźne piętno wycisnęła szkoła. Tylko jedna osoba nie czytała „Młodej Gwardii", „Opowieść o prawdziwym człowieku" czytało 32 osoby, „Jak hartowała się stal" — 31, „Cichy Don" — 16. Ale takich pozycji, które czytała przynajmniej połowa uczestników ankiety, jest tylko 8. Nie ma natomiast ani jednego czytelnika takich dzieł jak: „Odwilż", „Upadek Paryża", „Trzy barwy czasu". Po jednym czytelniku zdobyły „Dziewiąta fala" i „Czapajew", 2 — „Żniwa", 3 — „Droga przez mękę", a 4 — „Burza".

Prawdziwa tragedia zaczyna się przy lekturze zachodnio-europejskiej. Przeciętnie wypada „aż" 2 książki na czytelnika (5 osób nie czytało ani jednej powieści, po jednej książce — 6, po dwie — 15, „rekord" pobit student, który przeczytał 7 pozycji). Wymieniono tylko te utwory, które należą do lektury szkolnej (zaledwie 27 tytułów!). Najpopularniejszy jest „Reportaż spod szubienicy" (22 czyt.), dalej idą: „Droga do wolności" (15) i „Siódmy krzyż" (7) „Pierwsze starcie", „Drogi głodu", „Rycerz nadziei", „Twój nieznan brat" i wiele innych powieści znalazło w najlepszym przypadku... jednego czytelnika. Jak zatem pogodzić te wyniki z początkową uwagą, że młodzież czyta dość dużo?

Owszem, młodzież czyta i to nawet chętnie, klasyków polskich, natomiast ma ogromne braki w znajomości współczesnej literatury Zachodu, ZSRR i Polski Ludowej. I właśnie na to trzeba w szkole zwrócić uwagę. Staranniej dobierać lekturę, by do rąk młodych czytelników nie trafiały pozycje słabe, pozwalające na fałszywe negatywne uogólnienia na całą literaturę współczesną.

Młodzież chce czytać powieści współczesne, ale powieści dobre. I tu już pod adresem twórców w zakończeniu uwag warto zacytować kilka zdań z ankiet świadczących o tym, że młodzież jest suro-

wym, wymagającym odbiorcą i umie spojrzeć prawdzie w oczy.

Oto kilka charakterystycznych wypowiedzi.

„Brak w powieściach współczesnych życia osobistego bohaterów, ich codziennych zmartwień, radości, a przede wszystkim miłości, niemożliwa jest rzecz, żeby miłość nie szła w parze z pracą i osiągnięciami człowieka..."

„...Słownik autora jest czasem aż nadto „realistyczny", a opisów piękna naszej ziemi znajdujemy bardzo mało..."

„...Powieść współczesna przemawia mi do intelektu, do rozumu, a nie porywa (jak np. utwory Żeromskiego)..."

„...Brak żarliwości i patosu dawnych pisarzy. Po przeczytaniu współczesnej książki czuje się niesmak i zazwyczaj sięga się wtedy do książek dawnych pisarzy. Dlaczego brak jest u naszych pisarzy takiego konceptu, jak u Sienkiewicza, takiego uczucia i tak wzniosłych ideałów, jak u Mickiewicza? Otoczeni jesteśmy i tak rzeczywistością, przeciętnością, a książki współczesne zamiast wzbudzać w nas wzniosłe dążenia przypominają tylko o tej powszeczności..."

Analiza czytelnictwa wśród absolwentów szkół średnich jest sygnałem do pracy nad dokonaniem poważnych zmian w spisie lektury w programach nauczania, do pracy nad przełamaniem niewłaściwego stosunku wielu nauczycieli do literatury współczesnej, w której przecież są i utwory wielkiej miary, do podniesienia na wyższy poziom pracy bibliotek i wydawnictw, których celem jest udotępnienie książki czytelnikowi. I wreszcie uwaga pod adresem wydawców i pisarzy: jak najwięcej dobrych powieści historycznych i podróżniczych.

Musimy przecież uwzględnić realne zainteresowania młodzieży i dawać jej taką literaturę, jakiej wymaga jej okres życia. Dopiero wtedy, gdy w książce młodzież znajdzie to, czego szuka poza nią, gdy zamiast wątpliwych „przyjaciół" znajdzie prawdziwego przyjaciela — książka stanie się tym, czym być powinna.

Nie jest przecież rzeczą obojętną, co młodzież czyta i dlatego czas i na tym odcinku zabrać się do świadomego kierowania jej lekturą. Dużo mogłaby przynieść narada nauczycieli i rodziców z bibliotekarzami, mająca za cel opracowanie wspólnego planu czytelnictwa, a dzięki wymianie doświadczeń można się będzie dopracować właściwych metod pracy.

Zagadnienie to jest zwłaszcza obecnie w obliczu Dni Oświaty, Książki i Prasy, szczególnie ważne. Od właściwej, dobrej popularyzacji literatury w tym czasie zależy pozyskanie dla książki nowych czytelników. Sądzę, że Komitet Organizacyjny tych dni powinien przeanalizować stan czytelnictwa zwłaszcza wśród młodzieży i dołożyć starań, aby właściwe książki trafiły do jej rąk. Żeby nie trzeba było pisać, że „Nr 16 produkuje" czytało około 30 osób, a „Popiół i diament" — 7. Popularyzować

trzeba tylko dobre pozycje literatury współczesnej bo w przeciwnym przypadku skutek może być odwrotny.

I jeszcze jedna uwaga: kiedy w sierpniu rozpoczyna się tradycyjne konferencje nauczycielskie, niech

i problem czytelnictwa znajdzie na nich odpowiednie miejsce. Problemem czytelnictwa muszą się zainteresować wszyscy, którym bliska jest sprawa wychowania naszej młodzieży.

Roman Rosiak

Zofia Wyrwa

KWIATY I KAMIEŃ

Lubelszczyznę, ziemię chleba i ludzi, przecinają drogi jak wszystkie inne ziemie w całym kraju. Na drogach tych rosną kwiaty lub leżą kamienie. O kamienie potykają się ludzie, klną i przechodzą dalej. Czasem ktoś usunie ten czy ów kamień, czasem nawet nie zauważy, dlaczego się potknął...

Trudna jest droga pracy nauczycielskiej. Na niej, jak na innych drogach, rosną kwiaty i leżą kamienie.

* * *

Dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Doskonalenia Kadry Oświatowych, Franciszka Wronska, opowiada o formach pomocy nauczycielom.

— Zadaniem naszym jest podnoszenie poziomu ideowo-politycznego i dydaktyczno-wychowawczego nauczycieli oraz ich kwalifikacji naukowych. Szkoły i zespoły metodyczne instruujemy w zakresie stosowania socjalistycznych metod wychowania i socjalistycznej metodyki poszczególnych przedmiotów.

— Czy nauczycielstwo chętnie korzysta z pomocy ośrodka?

— Na to pytanie można odpowiedzieć tylko: tak. To jest coś więcej. Pragną nie zdobyć jak najwyższych kwalifikacji zawodowych, to niejednokrotnie ich ciche bohaterstwo...

A oto wyjątek z protokołu z konferencji biologów z dnia 17.III. br.

...Kol. Skotnicki spóźnił się z powodu złej drogi i braku komunikacji autobusowej. Odległość 11 km przebył pieszo, przy czym na oblodzonej szosie wskutek upadku doznał dotkliwych potłuczeń. Mimo to na konferencję przyszedł...

— Z Dysa do Lublina — dodaje dyr. Wronska.

Padają teraz nazwiska i fakty. Mówią o nich dyrektor i pracownicy ośrodka.

— W powiecie tomaszowskim nauczyciel szedł 23 km. na zebranie zespołu instruktorskiego. Powiedział, że gdyby nie przyszedł, miałyby w późniejszej pracy duże trudności...

— Kolega Daszczyżczek z Krasnegostawu jechał na konferencję instruktorów języka rosyjskiego. W drodze autobus stanął, nie można było jechać dalej wskutek gołodzi. Ale on nie czekał, przyszedł pie-

szko. Kiedy wszedł do sali konferencyjnej, był cały oblodzony...

— A Wilamowski Klemens, instruktor historii! Jeśli nie otrzyma furmanki, dochodzi zawsze 15 km. na zebrania zespołów, aby pomóc kolegom...

— Nauczycielka z Biskupic bierze do plecaka mikroskop i preparaty i dojeżdża rowerem do szkół, w których brak tych pomocy...

W biurze WODKO bujną zielenią rozpierają się kwiaty pieczołowicie pielęgnowane. Ale na trudnej drodze pracy nauczycielskiej kwitną kwiaty ludzkiego poświęcenia. Zakwitły wśród mroźnej zimy na ziemi lubelskiej.

* * *

A kamienie? Są. Jest ich nawet dużo. Znalazły się w materiałach, których dostarczył mi Kierownik Wydziału Oświaty PWRN Piotr Małek.

Nauczycielka szkoły podstawowej o jednym nauczycielu w Grondach powiatu lubelskiego realizuje programy z 1950 roku, nie uwzględniając instrukcji programowej na bieżący rok szkolny.

Niewykwalifikowana nauczycielka ze szkoły w Barbarówce w powiecie chełmskim nie tylko nie dokształca się sama, lecz nie doceniając planowania pracy dydaktyczno-wychowawczej, nie przygotowuje się do lekcji i nie stosuje pomocy naukowych.

Nauczycielka w Majdanie Górnym (powiat tomaszowski), mimo że posiada pełne kwalifikacje, robi rażące błędy ortograficzne, a na lekcji gramatyki w klasie VII podmiot w zdaniu wystąpił u niej jako przydawka.

Faktów takich jest dość dużo. Ale jedno jest pewne: więcej jest przykładów pracy dobrej, godnej naśladowania, aniżeli złej.

— Jak są likwidowane przeszkody w uzyskaniu dobrych wyników nauczania?

Znowu sięgam do wspomnianych materiałów. Jest w nich sprawa pewnego kierownika szkoły, u którego w czasie wizytacji stwierdzono poważne niedociągnięcia w pracy dydaktyczno-wychowawczej.

...Po napiętnowaniu tych zaniedbań... zmienił się zupełnie na lepsze. Krytycznie ocenił swoje nierobstwo i do pracy zabrał się należycie..."

A więc wizytacje.

Na ogół nauczycielstwo widzi w nich krytyczne oko Wydziału Oświaty zmierzające do „podjęcia skrzydeł”. Takie rozumowanie nie jest słuszne, gdyż chodzi o to, aby ta forma pracy aparatu nadzoru przynosiła w efekcie konkretną pomoc kadrom oświatowym.

— Jak związek zawodowy pomaga nauczycielstwu w podnoszeniu poziomu ideowo-politycznego?

Czesław Jędrzejewski, przewodniczący Okręgu ZZNP, odpowiada:

— Chodzi nam o to, aby wiadomości zdobyte na szkoleniu ideologicznym dopomogły naszym pracownikom działalności podstawowej w wykonywaniu ich pracy. Organizacyjnie zagadnienie to jest rozwiązane w ten sposób, że dwa razy w miesiącu odbywają się przy pomocy Wojewódzkiego Ośrodka Szkolenia Partyjnego seminaria, na które przyjeżdżają instruktorzy z powiatów. Ci z kolei konsultują się raz w miesiącu z kierownikami zespołów szkoleniowych. Ale tu... — milknie na chwilę, a potem mówi dalej:

— Tu napotykamy niezrozumienie znaczenia samoszkolenia ideowo-politycznego ze strony samych zespołów. Wiele bowiem zespołów wybiera spośród siebie kierownika, który nie zawsze odpowiada wymogom. Zazwyczaj obierany jest ten, który nie potrafi „obronić się” przed tą funkcją. Zespoły więc nie doceniają jeszcze tej formy pomocy. Mogę jednak stwierdzić, że spośród 90% nauczycielstwa objętego szkoleniem na terenie naszego województwa, 50% stanowią ludzie, którzy z całym zapalem pogłębiają tą drogą swe wiadomości. W wielu wypadkach nauczyciele przychodzą tylko dlatego, że jest to dobrze widziane.

— Jakim systemem prowadzone są szkolenia?

— Systemem seminaryjnym. I tutaj znowu nasuwa mi się pewna niesłuszna metoda, stosowana w niektórych zespołach. Rozdzielane są mianowicie tezy pomiędzy poszczególne osoby, które przygotowują je do dyskusji. Bardzo często przygotowanie jest pamięciowe. Upraszczenie takie nie może dać dobrych wyników, gdyż brak przygotowania całego zagadnienia uniemożliwia jak najlepsze opanowanie materiału drogą rozumowania.

— Czy uczestnicy szkolenia okazują jakieś szczególne zainteresowania, które pragną przedyskutować?

— Tak. Interesuje ich na przykład zagadnienie ateizmu.

— Więc z tego wynika, że nauczycielstwo pragnie rozszerzać swoje wiadomości?

— Oczywiście. Ale cóż... Jeszcze jedna trudność. Ot, choćby taka, że nie otrzymaliśmy programu szkolenia na cały rok. W wyniku tego miesięczne tematy, przychodzące z dużym opóźnieniem, docierają do rąk nauczycielstwa nieraz w dniu szkolenia. Z tego powodu nie można urozmaicić samoszkolenia doborem odpowiedniej literatury.

Dziękuję przewodniczącemu Jędrzejewskiemu za udzielone informacje.

— A przychodźcie do nas czasem... — zaprasza z uprzejmym uśmiechem.

Mówię, że z pewnością jeszcze nieraz będzie okazja do takich rozmów, ponieważ sprawy nauczycielskie, sprawy oświaty będą często poruszane w naszym piśmie.

Zofia Wyrwa

NA TEMAT HARCERSTWA POLSKIEGO SŁÓW KILKA

Na środku dużej auli Państwowego Liceum Pedagogicznego płonie ognisko. Można się tak wyrazić — „płonie”. W rzeczywistości jest to lampka elektryczna owinięta czerwoną bibułą i przykryta gałązkami sośni. W każdym razie ta improwizacja dodaje uroku harcerskiej zbiórce.

Na uroczystą zbiórkę drużyny harcerskiej Szkoły Cwiczeń przy Państwowym Liceum Pedagogicznym w Lublinie, która odbyła się 19 marca br., przyciągnął mnie temat pogadanki. Jadwiga Grossman miała opowiedzieć o Hance Sawickiej, z którą współpracowała w okresie okupacji. Dla harcerzy był to moment tym bardziej bliski, iż za „patrona” drużyny obrali sobie właśnie Hankę Sawicką.

Widziałem oczy wpatrzone do bólu w skupioną twarz opowiadającej o pracy i walce, o nauce i zabawie bohaterskiej dziewczyny. Nie wszyscy jednak słuchali z równym zainteresowaniem. Przyczynę tego dało się odgadnąć natychmiast: harcerzy najmłodszych, tych w granicy lat dziesięciu, mniej interesowała poważna i — mimo ładunku optymizmu — przecież smutna opowieść...

Wtedy właśnie postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej o obecnym harcerstwie w Polsce, które kilkanaście lat temu było dla wielu młodych tak drogą i bliską organizacją.

Jak mogę wnioskować na podstawie rozmowy z opiekunem koedukacyjnej drużyny przy Szkole Cwiczeń, harcerki i harcerze kochają swoją organizację. Kierownictwo stara się urządzać ciekawe apele i zbiórki połączone z montażami satyrycznymi, zabawami i gry sportowe, podczas przerw między lekcjami harcerze pełnią funkcję porządkowych, starają się przodować w nauce i wychowaniu.

Charakterystyczne były dla mnie dwa zastrzeżenia opiekuna drużyny: kiedy mówił o organizowanych programach satyrycznych, dodał — „oczywiście o sensie wychowawczym”, informując zaś o apelach z pogadankami na temat aktualnych zagadnień politycznych, zaznaczył — „problemami politycznymi nie przeciążamy jednak zajęć harcerskich”.

Zaniepokoiły mnie te uwagi — w jakim sposób charakterystyczne dla całego życia organizacyjnego w Polsce. Porównałem w myśli harcerstwo nowe ze

starym i sformułowałem naprędce sąd: z odrzuceniem cieni starej organizacji młodzieżowej, niestety, odrzucono wiele jej blasków. Używając znanej metafory — wylało dziecko z kąpielą.

Nadszedł czas, by problemy ideologiczne i organizacyjne harcerstwa poddać gruntownej rewizji.

Nie wierzę, by apele polityczne i suche prasówki były trafnym momentem pedagogicznym. Wierzę, że pogadanka Jadwigi Grossman o Hance Sawickiej zostawi trwały ślad w duszy niejednego z młodych słuchaczy. Wierzę, że przywrócenie „sprawności” uczyni życie harcerskie bardziej ciekawym i radosnym (przebież starzy dekorują się medalami), a równocześnie wychowa ludzi, umiejących sobie radzić w różnych okolicznościach życia. Nie wierzę, by pewna dawka śmiechu dla samego śmiechu była szkodliwa wychowawczo — wierzę natomiast, że towarzysząca każdej zbiorce, każdemu apelowi myśl o aspekcie politycznym i pedagogicznym przyczyni się do wniesienia n u d y, a nie — wychowania świadomych i pełnowartościowych obywateli.

Szeroko rozwija się obecnie na całym świecie ruch turystyczny. Mogę oczywiście nie mieć racji — sądzą jednak, że jest w tym coś z atawizmu cywilizowanej ludzkości...

Pamiętamy zdobywanie orlich piór. Pamiętamy bez troskie i półdzikie obozy w lasach, oświetlone czerwonymi językami ognia. Wrażenia chyba równie niezatarte jak frontowe, tylko — bez przelewu krwi. Myślę, że w takim nastroju, ze szczególnym uwzględnieniem momentu samodzielności i współzycia z przyrodą kształtować się powinien zdrowy fizycznie i moralnie harcerz.

Ramy notatki nie pozwoliły omówić wielu spraw, niektórych bardzo ważnych, jak na przykład roli harcerstwa w walce z plagą alkoholizmu, z zaklamaniem itp. Impresje swoje pragnę zakończyć apelem: nie zapominajmy o wieku harcerzy i prawach tego wieku, nie zatracajmy proporcji między wychowaniem fizycznym tych młodych chłopców i dziewcząt a pracą polityczną.

wk

O KLUBIE I JEGO MŁODYCH BYWALCACH

„Sztandar Ludu” z dnia 7 i 8 kwietnia br. zamieścił obszerny, bardzo obszerny artykuł Matyldy Weiny pod tymże tytułem, co niniejsza notatka. Mimo iż objętościowo zajął on jedną kolumnę druku, na pewno wielu spraw nie wyczerpał, niektórych nawet nie ujął. Artykuł jest zapewne wszystkim znany, nie będę podawał więc jego zawartości. Pragnę tylko zaznaczyć się nad dwoma fragmentami wypowiedzi. Matylda Weina pisze o młodych: „Może wyciągnięcie (...) wniosek, że potrzebny nam wreszcie własny Klub, Klub młodej inteligencji, żeby się lepiej poznać, zrozumieć, kształtować wspólnie światopogląd i wzbogacać w wiedzę. Mogę to tylko pochwalić, jak wiele innych rzeczy, które zainicjowało Po prostu”.

Wniosek taki młodzież lubelska powinna wyciągnąć — nie w celu znalezienia we własnym klubie ujścia dla różnych, czasem może niezupełnie słusznych pretensji czy to z racji intelektualnych, czy na przykład... ubioru — ale by mieć w ł a s n ą siedzibę. By się nauczyć gospodarzyć, by wymieniać myśli, by poszerzać swoją kulturę. Klub Młodej Inteligencji w Lublinie jest potrzebny; w tej chwili dość daleko posunięte są sprawy związane z jego organizacją. Klub ten na pewno powstanie; sądzą, że w następnym numerze „Kamieni” napiszemy już o jego pracy.

Przejdźmy do drugiego problemu z artykułu Matyldy Weiny. Cytując: „Byłam ostatnio w Klubie na wieczorze twórczości własnej Koła Młodych Literatów. Bardzo rzadko u Turczyńskiego, muszę powiedzieć otwarcie, częstochowskie rymy w rodzaju: psy — bzy — lzy, butonierce — serce itp. A cała treść jego wierszy zdradzała ogromną jeszcze niedojrzałość. (Czego? — wierszy? Czy autora? Przyp. mój) ...czyż nie lepiej przetrawić te utwory jakiś czas w bardziej zamkniętym kręgu?”

Nie chcę ustosunkowywać się do twórczości młodego Andrzeja Turczyńskiego, nie chcę również poruszać marginesowych spraw wieczoru. Zatrzymam się jednak przy wyliczonych „częstochowskich rymach” — psy, bzy, lzy. Gdzie zaszczekały psy — doprawdy nie wiem — czy w mieszkaniu Turczyńskiego, czy autorki artykułu. Natomiast bzy i lzy znalazłem...

*Spiewały tęskną piosnkę bzy
niosąc daleki zaw po kraju,
szumiąły chmury roniąc lzy,
Schiller uciekał z Weimaru.*

Czyż warto było tak deprecjonujące wnioski wyciągać na podstawie... rymów? A przecież kilka miesięcy temu tenże sam „Sztandar Ludu” o wierszu, w którym znalazły się owe nieszczęsne bzy w towarzystwie lez, pisał tak: „... na wyróżnienie zasługuje „Kandelabr Weimaru” Andrzeja Turczyńskiego. 17-letni poeta zadebiutował szczęśliwie — wiersz jego odznacza się świeżością formy, jest to poezja myśląca, a przy tym komunikatywna”. (Dodatek „Sztandar Ludu” — „Kultura i Życie” z dnia 13 listopada 1955).

Tak nie powinno się postępować — szczególnie z początkującymi literatami. Andrzejowi Turczyńskiemu, sądzą, wyrządzono dwukrotnie krzywdę: zbyt pochopne wyróżnienie debiutu i potępienie na podstawie zbyt drobnych i ogólnych zarzutów.

Dlaczego autorka artykułu nie zabrała głosu po wieczorze autorskim? Należy stwierdzić, że na wieczorach literackich spośród dziennikarzy zabiera głos właściwie tylko Edmund Grzybowski. A gdzież reszta pracowników lubelskiej prasy?

wk

WĘDRÓWKI PO WYDZIALE KULTURY PWRN

Do Wydziału Kultury PWRN udałem się wraz z przedstawicielami CSR, którzy pragnęli poznać działalność tej placówki. Goście czeszy interesowali się dosłownie wszystkim: ile jest kin w Lublinie, ile teatrów, sprawami czytelnictwa, uposażeniami pracowników itd.

Naczelnik Wydziału Kultury udziela obszernych informacji. Wyrażenia trudniejsze do zrozumienia dla obcokrajowców uzupełnia gest lub uśmiech. W ten sposób radzimy sobie bez tłumacza.

— U nas kraj — mówi przedstawiciel instytucji kulturalnych w Czechosłowacji — a „kraj“ to w ich języku „województwo“ — jest mniejszy niż w Polsce, liczy około pół miliona ludności. Dlatego łatwiej jest na takim terenie korygować działalność placówek kulturalnych.

A u nas?

Lubelszczyzna należy do terenów najwięcej zaniedbanych przed 39 rokiem. Brak było większych ośrodków przemysłowych. Mimo bardzo dobrych gleb, rolnictwo stało na niskim poziomie. Tej spuścizny czasów przedwrześniowych nie da się zmienić na lepsze w ciągu dwu czy dziesięciu nawet lat. A sprawy kulturalne — to nie jest zjawisko samoistne, wiąże się ono z uprzemysłowieniem terenu, z elektryfikacją wsi i wieloma innymi problemami podniesienia poziomu cywilizacji.

Ciężar zagadnień koordynacji i upowszechnienia kultury, szkolnictwa artystycznego, konserwacji zabytków oraz spraw czytelnictwa i bibliotek spoczywa na dwudziestu kilku pracownikach etatowych Wydziału.

— U nas — mówi jeden z gości czeskich — mniej pracowników. Pięciu. Natomiast rada narodowa poświęca w każdym kwartale jedno posiedzenie sprawom kultury: omawia działalność w poprzednim kwartale i układa plan działalności na następny.

Zdaje się, że w Polsce rady narodowe nie przejawiają większego zainteresowania zagadnieniami kultury...

Jest dużo racji w smutnym stwierdzeniu Jadwigi Grossman: kultura w naszym województwie kończy się właściwie na rogatkach Lublina...

Tzw. „teren“ jest największą troską Wydziału Kultury.

Ogniskami kultury poza Lublinem są przede wszystkim świetlice, biblioteki i zespoły artystyczne. Województwo lubelskie ma 738 gromadzkich rad narodowych posiada 300 świetlic społecznych i 113 z pracownikami etatowymi. Niestety, 80% pracowników tych ma zaledwie niższe wykształcenie — absolwentów uniwersytetów niemal nie spotykamy. Nic więc dziwnego, że świetlice prowadzone są nieodpowiednio, nieciekawie, że nie potrafią przyciągnąć sympatyków. Często stanowiska kierowników zajmowali młodzi,

niedoświadczeni ZMP-owcy, którzy nie potrafili prowadzić ani pracy politycznej, ani wychowawczo-kulturalnej, odstręczając od uczęszczania do ziejającej nudą świetlicy.

Województwo nasze posiada obecnie 243 biblioteki. Do końca br. liczba ta wzrosnie do 302. Jednakowoż liczba przeczytanych książek na jednego mieszkańca wyraża się żenującą cyfrą 0,78 rocznie (w Czechosłowacji średnio 2,00).

Stosunkowo dobrze przedstawia się sprawa wiejskich zespołów teatralnych. W Dniach Oświaty, Książki i Prasy 350 zespołów stanie do przeglądu w miastach powiatowych. Przegląd odbywać się będzie od 15 kwietnia do końca maja.

Zasadniczym, najważniejszym powodem niepokoju, z jakim Wydział Kultury myśli o „terenie“, jest brak kwalifikowanych sił. Niedociągnięcia te powoli się usuwa. Ostatnio zorganizowano kwartalne szkolenie dla bibliotekarzy, miesięczne — dla kierowników świetlic. Wkrótce rozpocznie się szkolenie instruktorów dla zespołów teatralnych. W Lublinie powstało Liceum Kulturalno-Oświatowe, które wychowa doświadczonych pracowników. I wreszcie — moment być może najważniejszy — poprawia się obecnie błąd popełniony kilka lat temu, kiedy to pominięto przy pracach bibliotecznych i świetlicowych nauczycieli wiejskich i ich wyszkolenych, znających potrzeby terenu, jak najlepszą i predestynowanych do prowadzenia placówek kulturalnych. Nauczyciele przystępujący obecnie do pracy w bibliotekach, świetlicach czy zespołach artystycznych pobierać będą wynagrodzenie rynkowe, co niewątpliwie wpłynie dodatnio na stosunek do prowadzonych nieraz prac społecznych.

Przewiduje się scalenie nadwyżek budżetowych przeznaczonych na cele kulturalne i scalenie lokali. Dotychczas zdarzało się niejednokrotnie, że wieś posiadała kilka świetlic prowadzących przez różne organizacje, co niepotrzebnie rozbijało działalność kulturalną.

Wspomnieć należy o pewnych problemach, które wkrótce znaleźć powinny słuszną drogę rozwiązania. Istnieje, na przykład, pewna dwutorowość w pracach Oddziału Bibliotek, Rad Czytelniczych i Poradni przybibliotecznych. Dąblują również swoją pracę — Upowszechnienie Wiedzy Rolniczej i Sekcja Rolna TWP.

Powstają więc czasem nieco żartobliwe sytuacje: TPPER daje wsi odczyt o sprawach rolniczych, a UWR o... Adamie Mickiewicz.

Problem koordynacji prac kulturalno-oświatowych powinien być wszecznym przedyskutowany w najbliższej przyszłości.

Bardzo ważną rolę spełniają kina objazdowe — przede wszystkim we wsiach zelektryfikowanych.

Zauważyłem, że w tym momencie goście z Czechosłowacji uśmiechają się.

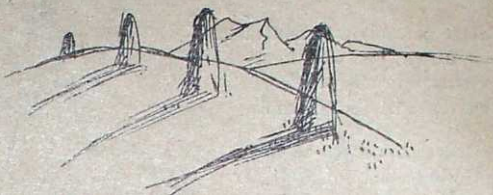
Tak, pomyślałem, w waszym kraju może już nie ma wioski bez żarówki. Ale my nie wstydzimy się lampy naftowej czy świecy — to nie nasza wina. Natomiast pracujemy nad tym, by światła elektrycznego było coraz więcej. Wydaje się, że razem z nim rozprasza się mrok zacofania kulturalnego naszego województwa.

Chcę na zakończenie zasygnalizować pewne niebezpieczeństwo grożące wszelkim „kampanijnym” poczynaniom; należy pamiętać, że nie wolno poprzestać na ożywieniu ruchu kulturalnego z okazji corocznie obchodzonych Dni Oświaty, Książki i Prasy — należy pamiętać, że po podsumowaniu ewentualnych osiągnięć tego okresu nie można spokojnie oddać się kontemplacji sprawozdań — ale rozciągnąć trwanie Dni Oświaty na cały rok...

Zbigniew Stepek

Kazimierz Winkler

LUDZIE SCHODZĄ JUŻ Z POLA



MATCE

Kiedy spojrzysz — obłoki nad wzgórzami się kłębią
jak jabłonie kwitnące różowością gołębia,
wiatru podmuch szeroki wierzb listeczki odchyła
i trzepoczą srebrzyście jak skrzydełka motyla.
W dali dróżka wygięta nad parowem strumienia,
ludzie schodzą już z pola w blaskach ostrych i cieniach
coraz dłuższych, męczących na ruchliwy łąn żyta,
na fiolet koralowy przyciągnięty po szczytach,
gdzie nadbrzoje szarłatne wiatr zbierają w koronach,
gdzie potrzęsa koralem jarzębina sploniona
i góralczył ogasta stado owiec wełnistych
niby pęczki spieszny. A w dolinie już iskry
na kamienach Dunajca złoty zachód rozniecił.
Huczy rzeka. Nad rzeką ptak ukosem przeleci.
Wodo, wodo niesforna spod czorsztyńskiej ruiny,
może w gwar twój wplątane stare echo wyplynie
buntu, który jak flagę w silnej dłoni niósł Kostka,
jednym miłość zwiastując, innym grozę i postrach.

Ludzie schodzą już z pola. Koń podkową zadzwonił.
Hej, doliny cieniste, hej, skaliste ustronia!
Wstecz spojrzwały dziewczęta, blask im rysy wyrzeźbił,
wiatr odrzucił sieć włosów rozigranych jak wierzby.
Oczy dionią jak daszkiem przysłoniły pod słońce:
pola nasze wysokie, góry, góry szumiące!

Drugi brzeg już pociemniał, skrył się w zmierzchu niebieskim,
chłód od rzeki pociągnął. Tylko jeszcze sam Beskid
swiecił długo, a chmury lot przerwały i senne
na wierzchołkach przysiadły.

Czasem wzmaga się we mnie
taka czułość ogromna i ta ciepła tęsknota,
co zrywała się niegdyś po szczęśliwych powrotach,
kiedy patrzył na kraj ten.

Kazimierz Winkler

Henryk Heine

LORELEI

Sam nie wiem co mnie tak gnębi,
Dlaczegom smutny dziś.
Wspomnieniem dawnej legendy
Natrętna powraca myśl.

Ucichły wiatry, już chłodniej,
Spokojnie płynie Ren —
Szczytom ostatnie ęle ognie
Dogasający dzień.

Dziewica cudna — wysoko
Na skalny wyszła głaz,
Płonie klejnotów jej złoto
I złotych włosów blask.

Czesze je złotym grzebięciem
I w dziwny zawodzi ton:
Melodia bije nad Renem,
Jak czarodziejski dzwon.

W łódce mknącego żeglarza
Porywa tęskny jej szal!
Na rafy podwodne nie zważa —
Zasłuchał się w echa skał.

Żeglarzu — twa łódka w końcu
Pryśnie o głazu skraj:
Swą pieśnią urzekającą
Zabija Lorelei...



Przełożył Stefan Żerzyński

Janusz Andrzej Tchórzewski

LUBELSKIE SPOTKANIA Z FILMIĄ

Niewielki budynek tuż obok kina „Wyzwolenie”.
Tu mieści się lubelska siedziba Filmii.

Czy naprawdę tu?

A może Filmia przebywa w kolejkach przed kinami,
„na seansach”; w rozmowach o dobrych i złych fil-
mach...

W sekretariacie OZK pytam się o to, kto może mi
udzielić informacji dotyczących lubelskich kin.

Wycinam zaświadczenie z redakcji „Kamień”.
Urzędniczka spogląda na dwa podpisy, „podparte”
wyraźnie odbitą pieczęcią.

— A-a... To niech pan pójdzie na górę do pana Bu-
czyńskiego.

Dość łatwo znajdują go.

Rozmowa jakoś się nie klei. Z mojej winy. Brak
wprawy i marzenia: „Napisać coś rewelacyjnego”.
Tak jak piszą w „Po prostu”. A tu? Nudny wywiad.
Cytry.

— 3 kina I kategorii, 21 miejskich kin stałych...
Na terenie Lublina są dwa kina I kategorii: „Wyzwo-
lenie” i „Robotnik”. Ponieważ nie mamy lokalu, kino
„Robotnik” jest jednocześnie kinem dziecięcym.
We wtorki, czwartki i soboty od godziny 14 do 15
wyświetlamy bajki... Dekoracja przystosowana do kina
dziecięcego. W kinie „Staromiejskim” wyświetlane są
filmy popularno-naukowe... No, co pan jeszcze chce
wiedzieć?

— Repertuar?

— Będzie około 20-go. Przysłań nam z Warszawy...
Trudności lokalowe? Są. Widzi pan, jak tu ciasno.

Rozmowa, a raczej monolog, toczy się dalej. Zapy-
tuję o kina objazdowe.

Po chwili trzymam w rękach repertuar kin objazdo-
wych. „Rzym godz. 11”, „Preludium sławy”. Czy ja
śnie? Więc i w kinach objazdowych puszcza się dobre
filmy. Dużo jednak jest kiczów. Takich, które w ki-

nach miejskich idą prawie przy pustej widowni. Na wsi wszystko „pójdzie”. Niektóre wsie nie oglądają filmu częściej niż raz na pół roku. Inne wcale nie. Sama magia filmu powinna wystarczać.

Kiedy skończymy z magią remanentów?

Kiedy nadejdą „dyrektywy” wypowiadające walkę kiczom?

Bo bez „dyrektyw” ani rusz... Trudno, w biurach nie siedzą rewolucjonści. Jeśli dostaną ogórne polecenia, zrobią najkrwawszą choćby rewolucję.

Sami nie umieją.

Tak. Zblądziłem. Siedziba Filmił mieści się gdzie indziej.

Zegnam się i obiecuję „wpaść” po repertuar...

Ludzie wychodzą z kina.

— Klawy film, no nie?

Inni oglądają fotosy z „Kuchennych schodów”.

Jakiś cwaniak sprzedaje: — Proszę, dwie dychy.

Zwykły handel biletami.

Jednak za mało mamy w Lublinie kin. „Wyzwolenie”, „Staromiejskie”, „Robotnik”, „Widok”, „Przodownik”, „Przyjaźń”, „Dworcowa”, „Letnie” — owszem, ale w samym mieście są tylko 3 kina. „Przodownik” mieści się w Świdniku, „Widok” i „Przyjaźń” na peryferiach miasta. Pod tymi kłaniami często „rozrabiają” chuligani. Zresztą nie tylko pod tymi. Kina nie przestały być miejscem „wyżycia się” chuliganów, a niekiedy i drobnych złodziejasków.

Nie mogą doczekać się 1962 roku. W tym roku ma prawdopodobnie wylecieć pierwsza rakietka na księżyc. Powieści Żuławskiego stracą przymiotnik „fantastyczne”.

Dobrze... dobrze — powiecie. Ale co to ma wspólnego z kinami?

W moim życiu ma.

Otóż założyłem się z kolegą, że wcześniej wyleci rakietka na księżyc, niż będziemy mieli w Lublinie 10 kin.

Ciekawe — kto z nas wygra.

Czytam biuletyn Klubu Filmowo - Dyskusyjnego. Piekielnie nudna lektura. Złe odbity na powielaczu, pisany zupełnie po scholarku, biuletyn nie wzbudza sympatii czytelnika.

Komunikaty przewodniczących poszczególnych sekcji i rubryka „Co piszą o nas” nie zachęcają do czytania. A przecież jednym z zadań klubu jest „wychowanie” przyszłych recenzentów filmowych. Reklamowy ton przebija się w całym biuletynie, jak gdyby w pracy klubu były tylko same osiągnięcia. Dyskusje nie są jeszcze na właściwym poziomie. W najbliższym czasie Klub ma być zreorganizowany i wtedy będzie pracować znacznie lepiej.

Za kilka miesięcy będę winien „klubowcom” dobrze napisany reportaż. (Bo tylko takie można pisać o dobrej pracy).

Janusz Andrzej Tchórzewski

Włodzimierz Chelmiński

WSRÓD PŁASTYKÓW W ZAMOŚCIU

Zamość jest pięknym miastem. Liczy 30000 ludności, lecz życie w tym mieście nie jest aż takim pięknym. Określić by je można jednym słowem: martwość. Brak teatru, filharmonii i jakiegokolwiek przybytku sztuki. Nie ma tu też z bardzo nielicznymi wyjątkami ludzi interesujących się sztuką. Nie ma atmosfery artystycznej koniecznej ludziom oddającym się sztuce. W tych warunkach plastycy pozostawieni sami sobie, bez pracowni, przeważnie bez znośnych warunków mieszkaniowych, zdani są na samotność, w najlepszym wypadku na spotkanie się w kawiarence, urządzonej zupełnie bez gustu, przy czarnej przypominającej kolor mulatki. Co ratuje tych ludzi od opuszczenia rąk? Bezsprzecznie miłowanie sztuki, ale wszelkie umiłowanie musi mieć swoje słonce, które grzeje. Ratuje artystów jedno — Liceum Plastyczne. I oto paradoks: na korzyść uczących wychodzą tak niesprzyjające warunki dla ich twórczej pracy. Nauczyciel nie rozprasza się, jak to się dzieje w dużych środowiskach, daje z siebie wiele uczniom, wiele od nich otrzymując. Przypomina się tu piękne powiedzenie chińskie o kobiecie: Złoto włożysz — złoto wyjmiesz, srebro włożysz — srebro wyjmiesz”. Prof. Surdacki

w swym ujmująco skromnym wyznaniu twierdzi, że pod wpływem uczniów niejedno zmienił w swym malarstwie. Oglądałem prace uczniów przed przyjazdem i po przyjeździe obecnych pedagogów. Zdumiony byłem zmianą dokonaną w tak krótkim czasie (w ciągu półtora roku). Zniknął brud w kolorach, rysunek stał się bardziej wrażliwy, indywidualność ucznia uszanowana.

W roku bieżącym zorganizowano pierwszą po wojnie wystawę malarstwa i grafiki. W drodze na wystawę, przyznaje, ogarnął mnie pewien niepokój. Jak opanować złe wrażenie, jak krytykować ludzi borykających się z tak wielkimi trudnościami. Pobieźny rzut oka upewnił mnie, że wprawdzie na wystawie nie ma arcydzieł, lecz nie ma też kiczów. Przykre wrażenie natomiast robi sala wystawowa; ciasnota i różnokolorowa ściana, na której zawieszono obrazy, gaszą ich kolor. Zatraca się też subtelności odcieni kolorystycznych w świetle elektrycznym, przy którym jedynie można oglądać obrazy. Zamalowanie ścian szarą farbą albo zakrycie szarym płótnem uratowałyby sytuację.

S. Surdacki, urodzony w 1915 r. syn niezamożnego rolnika z Urzędowa, mając 13 lat już interesował się malarstwem. Zaczęły się jego pieszce wędrówki do Kazimierza, gdzie widywał się z Pruszkowskim i Karmańskim. Najwięcej zawdzięcza Michałakowi, który zachęcał go do pracy i do wstąpienia do Akademii. Pobyt w wojsku, a potem okupacja nie pozwalają realizować tych zamierzeń. Dopiero w 1954 r. kończy studia w Akademii Krakowskiej, zdoławszy w czasie studiów uzyskać maturę. Jeśli koniecznie chcielibyśmy zaliczyć go do jakiejś grupy, nazwalibyśmy go ekspresjonistą. Przeżywa zarówno formę, jak i temat obrazu. W Cézanne'ie pociąga go konsekwencja i umiar. W Van Gogh'u przestrasza ogrom niepokoju widoczny w jego dziełach. Surdacki, człowiek tak bliski naturze, lubuje się w prostych, mocnych objawach życia. Zdrowy rozsądek każe mu nie przekraczać granic jego artystycznych możliwości.

Lubi duże płótna, w których może swobodnie się wypowiedzieć.

Najlepszy chyba obraz tego artysty to „Wrzesień” i szkic „Rybacy”. W pierwszym obrazie uciekinierzy, ogarnięci paniką i rozpaczą, pochyleni, zdążają w jednym kierunku. Obraz to pełen ekspresji wydobytej układem postaci i efektem barwnym. Duży obraz (106 x 150) nosi nazwę: „Granice Chrobrego”. Można by zarzucić w tym obrazie nieco teatralną pozę postaci, nie wzorowanych na żywym modelu, pewne też przerysowanie prawej grupy wojaków przy niedopracowaniu lewej grupy, potraktowanie lasu jako nowoczesnej sadzonki, a nie jako boru z samosiewu. Całość zdradza jednak duży dar kompozycyjny i wyobraźnię artysty zdolnego przetrząsnąć w zamierzeniu, najbliższą mu duchem epokę. Ambitny zamiar artysty, nie urzeczywistniony w pełni wskutek warunków, w jakich on żyje i pracuje.

Widziałem też tego artysty akwarelę, studium z natury „Cyganka”. Malarz w akwarceli stosuje dużo wody i lubi kontrasty (zawsze jednak pełne umiaru). Syntetyzując wyczuwa zarazem charakter modelu. Pracy tej artysta nie pokazał na wystawie, lekceważąc technikę akwarelową. Szkoda.

Marian Iwanciov ukończył Akademię Wileńską pod kierunkiem Ruszczyca, a potem Ślendszińskiego. W malarstwie jego nie dostrzega się jednak wpływu tamtych mistrzów. Cechuje go dyskrekcja, subtelność w przejściach kolorystycznych. Gdyby nie nazbyt zgaszony koloryt i złe oświetlenie sali, malarstwo to stałoby się bardziej komunikatywne. Taki obraz jak „Jabłka” jest już poważnym artystycznym osiągnięciem. Mamy w tym przemyślanym i trafionym obrazie 3 rodzaje czerwieni delikatnie zróżnicowanych. „Oczyszczanie rowów” jest szkicem, na którym jednak można poprzestać. Na 8 niewielkich rozmiarami pejzażach uwydatniają się wymienione zalety artysty.

Niemniej od prac tamtych artystów interesuje malarstwo Jerzego Marka. Ten uczeń Ejbisza nie przypomina w swych pracach mistrza. Obrazy te choć zaciemnione pociągają zaletami rysunku, koloru i waloru, nastrojem, dyskrecją, gardzącą tanim efektem. Zaznacza się też w nich mocny intelekt umiejętnie kierujący ręką. Zwłaszcza w „Rodzinie” i „Wnętrzu” występują tu zalety tego młodego artysty, rokującego duże nadzieje. W pejzażu tego artysty z Zamościa dalsze plany przyćmieją, bez perspektywy, psują wrażenie tak dobrego pierwszego planu.

Gdy się zastanawiamy nad twórczością tych 3 artystów, nasuwa się nam przypuszczenie, że ciemny koloryt ich obrazów wywołany jest posępną atmosferą, w jakiej oni żyją. Mylą się, jeśli sądzą, że słońce, którym obłany jest obraz, ma być koniecznie tym „tanim” słońcem obliczonym na łatwy efekt. Dowiedli, że tak nie jest, impresjonści.

Tak odmienny, jasny koloryt znajdujemy w „Martwej naturze z rybami” H. Dereżowskiej. Może dlatego, że artystka mieszka w pięknym Zwierzyncu i nie martwi się. Niektóre partie obrazu, jak garnuszek na tle serwet, zadziwiły mnie odbijając korzystnie od portretów 2 staruszek i obrazów dawniej widzianych na wystawie. W „Naradzie” też są niektóre znaczne osiągnięcia, jak np. głowy żywo dyskutujących mężczyzn. Gorsze są partie nóg i niektórych szczegółów ubrania. W tym obrazie jest śmiała próba stworzenia dużej kompozycji, w której artysta uciekający od naturalizmu poszukuje syntetycznych środków wyrazu, unikając syntetyzowania nieudolnego.

U W. Wawrzyni zwraca uwagę niewielki obraz „Drzewa” delikatnym uakłowaniem rozgałęzienia.

W grafice uwzględniamy twory znanego z wielu wystaw grafika W. Zarawskiego. Szereg drzeworytów, niektóre na tablicy wycinanej poziomo. Tego poziomu nie osiąga już ilustracja starego mistrza.

Delikatnością kreski wyróżniają się monotypie i rysunki Iwanciova.

Jakież wnioski się nawiązują po mojej wizycie u artystów zamojskich i zwiedzeniu wystawy?

Sądzę, że społeczeństwo Zamościa powinno w najbliższym czasie zająć się stworzeniem klubu na wzór powstałego w Lublinie Klubu Związku Pracowników Kultury i Stowarzyszeń Twórczych, gdzie zarówno artyści, jak naukowcy i inteligencja interesująca się zagadnieniami kultury, znaleźliby miejsce do wymiany poglądów, znaleźliby atmosferę sprzyjającą rozwojowi sztuki i nauki. Zdobycie odpowiedniego pomieszczenia dla Klubu jest pilną sprawą, którą już obecnie winna zająć się Miejska Rada Narodowa. Jeśli Klub taki nie powstanie w najbliższym czasie, przykry rozdzźwięk, jaki istnieje między pięknem miasta a życiem pozbawionym piękna, będzie się pogłębiał.

Włodzimierz Chelmiński

Władysław Ćwik
KAMENY — OMENY

Dowiadujemy się ze „Świata”, że mamką lewka
Festiwału z warszawskiego ZOO była suka rasy
czau-czau... Kamena.

W ZOO jak w muzyce
Przy placito bene... *)
Stąd z warszawskiej suki
Zrobiono Kamenę.

Mogła zostać Wenus
(Afrodytą alias)
Temidą, Euterpe
Lub Ateną Pallas.

Została Kamena...
Czemu? Któżby zgryzł to,
Dość, że Lublin przestał
Być monopolistą.

Pomyśl ten na oko
Jest pomysłem dzikim,
By z psim porównywać
Pismo osobnikiem.

Jednak komparacja
Będzie nieszkodliwa,
Bowiemy nas ratuje
Młody lew — Festiwal.

Który tę Kamenę
Rasy czau-czau
W ramach swych doświadczeń
Zająć ssał... ssał...

Stąd wysnuwam wniosek
(Takim to już krewki),
Że nasza Kamena
Też podkarmia lewki.

Na przykład Sobocki
(Proza jego fach), bo
Drukuje na łamach
I chwali sam Mach go.

Dalej Tchórzewskiego
Janusza-Andrzeja
Wymienię — to płodnych
Dyskusji nadzieja,

Jak również Kalliopy...
A trzeci to Stepek
(Patrz cykl artykułów:
„Młodzieży... i tepe”)

I lwie pokazują
Pazurki i noski
Kiełczewski, Turczyński,
Księżki, Krzyżanowski...

Niech trochę podrosną —
To pokażą światu!
Wszystkich wymienilem?
Przepraszam... Gdzież ja tu?

*) bene placito — „dowolnie”. W przekładzie autoryzowanym — „jak się komu żywnie pooba”.

Władysław Ćwik

W Ś R Ó D K S I Ą Ż E K

Dni Książki i Prasy w Lublinie i Lubelszczyźnie

Dorocznym zwyczajem Dom Książki organizuje Dni Książki i Prasy w Lublinie i na terenie województwa lubelskiego. Plan, jaki opracowano, przewiduje wiele imprez mających na celu propagandę i szerokie upowszechnienie książki i czytelnictwa. Dni zostaną otwarte w godzinach popołudniowych 18 maja. Nazajutrz, tj. 19 maja, będzie zorganizowany wielki kiermasz książki na placu Stalina. Na stołach i w pomysłowo urządzonych stoiskach znajdziemy w roku bieżącym wiele

nowości wydawniczych, dzieł wydanych przez Sp. Wyd. „Czytelnik”, „PIW”, „Wydawnictwo Literackie”, „Ludową Spółdzielnię Wydawniczą”, „Iskry”, „Sztukę” oraz firmy trudniące się wydawaniem pozycji naukowych. Będą tam książki takie, jak: Eugeniusza Paukszy „Znaki ogniste”, Józego Putramenta „Notatki polemiczne”, Adama Ważyka „Mity rodzinne”, Jadwigi Zylińskiej „Stig Ulsen i Rozamunda”, poezje Norwida, wiersze zebrane Leopolda Staffa, edycja

„Dramatów“ Wyspiańskiego, zbiorowe wydanie dzieł Stefana Żeromskiego, „Powieści ludowe“ J. Ign. Kraśzewskiego, grafika Kulisiewicza, Palladia, monografia Dürera, malarstwo Venera i w „Kręgu Rembrandta“. Z przekładów: Diderota: „Kubuś fatalista i jego pan“, „Ziemia jest dla wszystkich“, której autorem jest Kalman Segal, „Anna Karenina“ Tolstoja, dzieła Teodora Dostojewskiego, Turgeniewa, Niekrasowa i Szolochowa. Ogólne zaciekawienie wzbudzi, na pewno książka „W pracowni pisarzy radzieckich“, wydana przez Spółdz. „Czytelnik“.

W dniu pierwszego czerwca projektuje się urządzenie wielkiego kiermaszu książek młodzieżowych. Kiermasz będzie połączony z loterią i nagrodami. A w dniu Matki na stoiskach znajdują się przede wszystkim dzieła przeznaczone dla matek. Będą to wydawnictwa o zagadnieniach pedagogicznych, z dziedziny wychowania i racjonalnej opieki nad dzieckiem.

Nowości wydawnicze

JAN PIERZCHAŁA. „NOCE BEZ ŚWIATŁA“¹⁾

Jan Pierzchała debiutował przed dwoma laty powieścią pt. „Dziewczyna“. Książka ta obok licznych wad i niedociągnięć natury artystycznej posiadała też i niemałe walory literackie, świadczące o talencie prozatorskim tego autora. Obecnie wyszła z druku nowa pozycja Jana Pierzchały pt. „Noce bez światła“. Jest to niewielka objętościowo powieść, której akcja rozgrywa się na terenie Śląska, w przeddzień wybuchu drugiej wojny światowej, a następnie w czasie okupacji hitlerowskiej i prześladowań SS-manów.

Autor w sposób umiejętny i oryginalny przedstawia nam tragedię narodu, nie siląc się na opis wielu niezwykłych czynów, bohaterstwa i zbiorowego zrywu, lecz w sposób prosty malując życie bezrobotnego górnika Murdzi i jego rodziny. Murdzia jest w beznadziejnych warunkach materialnych. Sanacyjny dyrektorzy kopalni wyrzucili go na bruk za działalność wyrotową. Żona chodzi do prania, dzieci są jeszcze małe, a każdy dzień przynosi nowe nieszczęścia. Mimo to w domu górnika znajduje przytułek biedny Żyd Jakub Rubin z córką. Tych głodujących i spowinowatanych ludzi łączy wspólna nędza oraz pragnienie walki o sprawiedliwość na świecie, o nowy, lepszy ład. Wybuch wojny spada na nich jak grom. Ale górnik razem z Jakubem, z komunistą Borowskim i innymi staje do nierównej rozprawy z Niemcami.

„Noce bez światła“ są potwierdzeniem tych nadziei, jakie prasa pokładała w Janie Pierzchałe po jego udanym debiucie powieściowym. Talent tego pisarza okrzepi, warsztat wzbogacił się wyraźnie o nowe środki. Czytelnik będzie miał jednak żal do autora za wátne tempo akcji, za błędy i niepełny obraz wal-

Pewnego rodzaju nowacją jest objęcie patronatu nad akcją upowszechniania książki przez ZMP. Należy podkreślić, że stosownie do opracowanego planu w roku bieżącym stoiska z książką zawitają do dzielnic robotniczych Lublina. Ujrzymy je na Bronowicach, na Kalinowszczyźnie i pod Cukrownią.

Ten sam plan przewiduje przyjazd do Lublina kilku znanych autorów, którzy mają rozdzielać autografy. Dom Książki ma też porozumieć się z autorami z Lublina, by wzięli udział w Dniu Książki w podpisywaniu swoich dzieł.

Jednocześnie projektuje się szeroko zakrojoną akcję w terenie. We wszystkich powiatach zostaną urządzone kiermasze książki, połączone z loterią. Zakończenie Dni Książki odbędzie się 3 czerwca.

jnK

ki z okupantem, za nieporadność w przedstawieniu działalności Partii Komunistycznej i nie przekonywającą postać Tereski, prostytutki, pełniącej rolę gońca i łącznika.

BORISAV STANKOVIC: „NIECZYSTA KREW“²⁾

Niewiele mamy przekładów z literatury serbskiej. A wśród tych specjalnie celną pozycję stanowi powieść Borisava Stankowicia pt. „Nieczysta krew“, przełożona z języka serbsko-chorwackiego przez Wiktora Bazielicha. Akcja powieści rozgrywa się w końcu osiemnastego wieku. Jest niewymyślna: historia jednej szlacheckiej rodziny, zmuszonej biedą do skolidowania się z bogatą rodziną chłopską. Ale przy tej okazji czytelnik sporo dowiędzie się o obyczaju, panującym w Serbii w tych przełomowych czasach. Bohaterką powieści Borisava Stankowicia jest Sofka, piękna dziewczyna serbska, córka Miti effendi, którą ojciec hulaka wydaje za mąż za nieletniego wyrostka. Jest to naturalny proces chłopienia społeczeństwa serbskiego, proces, trwający do dnia dzisiejszego. Tęsknota Sofki za przepychem oraz za mężem, który ukazuje się jej w marzeniach, oto temat tej książki. Autor z dużą dokładnością pokazuje nam w „Nieczystej krwi“ strój, zabawy i bez troskę kupców i sturczyałych Serbów, ich dom, interesy. Nie ma tam miejsca na uczucia patriotyczne, własna wygoda jest głównym celem tych ludzi. Trzeba podkreślić, że Stankovic jest dobrym kronikarzem ich życia. W tej jedynej swojej powieści zamknął wszystko, co dostrzegł w rodzinnym mieście. Toteż książkę jego czyta się z niesłabnącą uwagą. Pociąga nas wyjątkowo trafnie odmalowany egzotyzm środowiska.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje przekład dzieła zgrabny i bardzo staranny.

1) Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“, str. 253.

2) PIW.

BHABANI BHATTACHARYA: „CZŁOWIEK, KTÓRY JEDZIE NA TYGRYSIE”³⁾

Indyjskiego pisarza Bhabani Bhattacharya znamy już z jego pierwszej powieści pt. „Tak wiele jest głodów”, która cieszyła się wielką poczytnością i uznaniem krytyki. Akcja tej książki jest umieszczona w Bengalu. W tej samej prowincji rozgrywa się i druga powieść tego autora, zatytułowana „Człowiek, który jedzie na tygrysie”, przedstawiająca dzieje kowala Kalo i jego córki Czynydry w latach okrutnego głodu, jaki nawiedził Indie w roku 1943.

Kłęska głodu, jaką przeżywał Bengal w r. 1943, należy do najstraszniejszych w dziejach tego kraju. Ofiarą tego nieszczęścia padło około czterech milionów głów. W tym czasie ogromne procesje wygłodniałych chłopów, mężczyzn, kobiet i dzieci, opuściwszy swoje własne domostwa, wędrowały do miast w poszukiwaniu chleba. Za kilka rupii albo za miskę ryżu kapitaliści nabywali od konających z głodu piękne gospodarstwa, wielkie połacie ziemi i cały dobytek. Ludzie umierali na ulicach Kalkuty, a jednocześnie rozdziły się wielkie, fantastyczne fortuny. Wielcy kupcy zarobili na głodzie półtora miliarda rupii. Trzydzieści tysięcy dziewcząt poszło do domów rozpusty, aby dać utrzymanie swoim najbliższym.

Dlatego nie bez wzruszenia czytamy straszne dzieje kowala Kalo i jego córki. Oboje przechodzą przez piekło za życia. Kalo w imię miłości dziecka podejmuje się w Kalkucie każdej pracy. Śpi po parkach, żyje wodą i garścią ryżu. Dokazuje cudów bezgranicznego poświęcenia. Powoli poznaje prawdę. To, co zasiał w jego duszy B-10 w więzieniu, kiełkuje. W toku dalszej akcji wylania się z półmroku, z od-

mętu zła i cierpienia organizacja pn. „Opuszczenie Indie”.

W powieści tej najciekawsze jest jednak samo tło. Czytelnik z ogromnym zainteresowaniem poznaje stosunki panujące w Indiach, kastowość, upośledzenie pariasów, uprzywilejowane stanowiska braminów oraz fanatyzm religijny tłumów. A jednocześnie widzi jak w zgłodniałym tłumie rodzi się bunt.

Okładkę projektował Jan Młodoczeńec.

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI: „DOBREJ DROGI, MARIO”⁴⁾

Bywają debiuty głośne, byskotliwe, po których następuje cisza i pustka, są też i takie, o których mówi się z powściągliwością, a przecież są zapoczątkowaniem prawdziwej drogi pisarskiej. Debiut Włodzimierza Odojewskiego jest na pewno udany, ale nie efektowny, nie byskotliwy.

Na tom składają się dwa opowiadania: „Dobrej drogi, Mario” i „Kretowisko”. W jednym i drugim autor pokazuje nam wieś, ale trzeba to podkreślić, że Odojewski podchodzi do zagadnień wsi w swój własny sposób. Całą uwagę skupia przede wszystkim na ludziach. Lepsze jest opowiadanie pt. „Kretowisko”. Szersza w nim problematyka, ciekawsze postacie.

Dużym walorem książki pt. „Dobrej drogi, Mario” W. Odojewskiego jest ogromna, jak u debiutanta, oszczędność słowa, pozbawionego baroku, przesady, nawet śladu sztuczności. Autor opowiada prosto, szczerze. I ta właśnie szczerłość stanowi największy walor tomu. Na specjalne podkreślenie zasługuje znajomość środowiska wiejskiego.

jnk

³⁾ Czytelnik.

⁴⁾ Iskry, 1956.

„Ziemia bez skarg” Józefa Nikodema Kłosowskiego*)

Nowa powieść Józefa Nikodema Kłosowskiego „Ziemia bez skarg”, wydana bardzo starannie przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą^{*)}, zaciękwą przede wszystkim tych licznych czytelników, którzy dobrze pamiętają ogłoszoną przed rokiem jego powieść „Gwiazdy nad polaną”, omówioną przeze mnie w „Kamieniu” (nr 97 — 98). „Ziemia bez skarg” przynosi bowiem dalsze dzieje Smółków, Kwiatoszów i Jarmulki, bohaterów „Gwiazd nad polaną”. Znajomość tej powieści nie jest jednak konieczna, bo „Ziemia bez skarg” jest dla siebie całością i rzadko odwołuje się do spraw opisanych poprzednio, a na czoło wydarzeń wysuwają się tu nowe postaci i inne problemy.

Wojna światowa w Dąbrowie i Zaklikowie przycicha. Ofensywa radziecka uderza już za Wisłę. Wieś polska w Lubelskim powoli się odbudowuje. Rozkwitającemu życiu stają jednak jeszcze na przeszkodzie złe tradycje i nienawiść „starych” do nowej rzeczywistości.

Jerzy Moreń, partyzant z AK, pod wpływem ojca, byłego starosty i wuja wywłaszczonego dziedzica Zaklikowa, Antoniego Wilkońskiego, zmienia swój za-

miar zaciągnięcia się do Wojska Polskiego i bicia Niemców. Idzie do lasu, do konspiracji, aby „rozpedzić tę całą zgrają”, która Polskę buduje.

Krystyna Zwolińska, córka ekonomy i kucharki, „komunistka”, przypomina paniczowi: „— tuż za przedkiem, w pobliżu kamieniołomów, płynął kiedyś przed laty niewielki, bystry strumień. Bądac małą dziewczynką często łowiłam w nim ryby. Takie drobne, srebrzyste płotki. Dotąd jeszcze pamiętam rześki, przyjemny chłód lipcowej wody i złote dno przeświecające przez kryształową przejrzystość potoku. Tam też zbierałam z koleżankami kwiatki, kaczeńce i stokrocie. Później niezapominajki. Pewnego dnia w czasie wakacji, proszę sobie wyobrazić, spostrzegłam, że stru-

*) Józef Nikodem Kłosowski, „Ziemia bez skarg”. Powieść. Okładkę, kartę tytułową i inicjały wykonał Andrzej Radziejowski. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Str. 396 i 4 nłb. — Fragmenty z „Ziemi bez skarg” drukowała „Kamena”: „Pierwszy traktor” nr 95—96, „Odwiedziny” nr 99—100—101.

mień jest mniejszy niż innych lat i jakiś smutniejszy. Wreszcie przekonałam się, że wysychał. A w końcu zostało po nim tylko płytkie, piaszczyste koryto. Zmartwiło to mnie ogromnie. Chłopi przechodząc tamtędy mówili: „zamarły strumień“ i tak mówi się dzisiaj. Na pewno spyta pan, dlaczego opowiedziałam pągu tę mało interesującą historię? Bo ten potok przypomina mi naszą oficynę! Dom i jego mieszkańców...”

Jerzy — to „zamarły strumień“. Zdaje sobie dobrze sprawę z przegranej, a jednak staje na czele grupy dywersyjnej w dąbrowskim lesie i bezwzględnie tepi ideologicznych przeciwników. Oddział „Kani“, w którym rej wodzą bandyci, przybierający sobie, niestety, nazwiska bohaterów sienkiewiczowskich („Kmicic“, „Zagłoba“), zabija bohatera Pawła Misia, napada na Dąbrowę, pali i grabi, a wysługuje się mu zdrayca Wanduła, chłop pijaczyna, i inteligent Czapla, dawny partyzant, człowiek lichy.

Kłowski interesująco wplata do powieści momenty awanturczo-sensacyjne, które ożywiają akcję i zaciekawiają czytelnika. Kania nie budzi litości. Kiedy oddział jego rozbito i Kanię raniono, doczłogał się do „zamarłego strumienia“ i tam w rowie skonał. Pierwszy rozpoznał go Antek Miś, który z dawna tropił zabójcę swego syna. Sprawiedliwości stało się zadość. Główny wróg Dąbrowy i Zaklikowa przestał nareszcie szkodzić. Brat nie będzie więcej zabijał brata. Kainowska gehenna pierwszych lat zaraz po wojnie niepokoiła i gniewała Kłowskiego i jej poświęcił pisarz najwięcej uwagi w swej ostatniej powieści.

Nowe życie mogło się już teraz bujnie rozwijać. Krystyna, którą pragnął zdobyć Jerzy, już bez trwogi może stanąć u boku jego rywala, Stefana Łuczaja, entuzjasty pracy, autora projektów budowy nowej wsi spółdzielczej. Łuczaj jako przedstawiciel nowej inteligencji jest wyraźnie przeciwstawiony w powieści Jerzemu i Krystynie od razu wybierając Stefana, daje dowód nie tylko nieomyślności serca, ale i politycznej dojrzałości. Okazało się, że „niedobra miłość“ do Łuczaja stała się dla niej podniecią do samokształcenia, a dla niego ostoją w ciężkiej chwili, kiedy odrzucono wypieszczony projekt spółdzielni i inżynier pod wpływem rozczarowania i niepowodzenia chwilowo się załamał. Za radą Krystyny zdecydował się Łuczaj wysłuchać życzeń i krytyk samych spółdzielców i to

pomogło mu do szczęśliwego rozwiązania planu. Rozmowa z inżynierem Micińskim, zakochanym w pięknie Kazimierza, upewniła potem Łuczaja, że forma nie może górować nad treścią, że w budownictwie współczesnym trzeba przede wszystkim pamiętać o potrzebach i wygodzie człowieka. Wieś spółdzielcza, jedna z pierwszych w Polsce, wyrosła więc mądrze i ładnie.

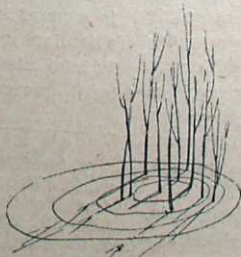
Kłowski poruszył w swej powieści wiele aktualnych spraw, ciekawie pokazał nam warunki, w jakich dokonywała się przemiana życia na wsi po 1945 r. W budowę powieści włożył wiele rzetelnego wysiłku i postarał się, aby całość trzymała się mocno, była zajmująca i żywa. Nie tylko postaci głównych bohaterów: Jerzego, Krystyny, Stefana rysują się wyraziście, ale wiele drugoplanowych, a nawet epizodycznych osób ze wsi, czy z lasu, pokazanych jest obrazowo.

Na przykład Alojzy Łyś. Był on niegdyś stajennym we dworze, ogier pozbawił go zębów kopytem, ludzie uznali „kopniętego“ za głupka. Temu właśnie Alojzemu wieś zawdzięcza swe ocalenie. Alojzy bowiem podpatrzył Wandułę, którego słusznie podejrzewał o konszachty z ludźmi z lasu, i przypilnował ptaszka. Przywiązanie Alojza do Gniadosza dobrze uzupełnia charakterystykę tej interesującej postaci.

Język powieści jest prosty, jasny i barwny. Opisy przyrody, gęsto przedzielające sprawy ludzi, ujęte są zgrabnie, po malarsku. Sporo w nich lirycznego zamyslenia. Jeśli odczuwamy brak jakiegoś ważnego składnika w powieści, to chyba humoru, który rzadko się tu pojawia i jakby marginesowo.

W bogatym już dorobku powieściowym Józefa Nikodema Kłowskiego „Ziemia bez skarg“ stanowi ósmą pozycję, w okresie powojennym szóstą. Patrzymy z uznaniem na rozwój talentu pisarskiego Kłowskiego, na jego rzetelną pracę nad sobą, na stałe zdobywanie coraz liczniejszych kręgów czytelników. Kłowski pisze obecnie nową powieść „Berio“. Starzy znajomi, odbiercy „Jazmy“, „Mgły“, „Walki z Aniołem“, „Czarnej wiosny“, „Gwiazd nad polaną“ i ci nowi, pozyskani teraz „Ziemią bez skarg“, oczekują „Berio“ z zaciękwaniem i ufnością, że będzie to nowa, równie ciekawa lektura.

Stefan Papée



NIEDZIELNY DODATEK DO „SZTANDARU LUDU” — „Kultura i Życie” zapoczątkował ciekawą innowację: wymiany dodatków kulturalnych z różnymi organami KW PZPR. Po raz pierwszy urzeczywistniono ten pomysł 11 marca rb., zamieszczając w niedzielnym numerze „Sztandaru Ludu” dodatek kieleckiego „Słowa Ludu” pt. „Słowo Tygodnia”. W tym samym dniu „Kultura i Życie” ukazały się w Kielcach. Zaprezentowana czytelnikowi lubelskiemu wkładka kielecka świadczy o tym, że „Słowo Tygodnia” unika materiałów arowskich (przynajmniej w nadesłanym do Lublina numerze) i opiera się na piórach miejscowych. Z zamieszczonych w nim utworów najciekawszą pozycję stanowi „List do nauczyciela mojego syna” Ireny Jarosz, rzecz napisana z dużym nerwem i poruszająca istotne problemy wychowawcze, oraz reportaż Ryszarda Smożewskiego „Wierzycie w cuda i anioły?”. Z poezją w Kielcach, jeśli sędzić na podstawie „Zimowego wiersza” L. Danisa, jest niedobrze. Pozytywną cechą kieleckiego dodatku jest zwracanie bacnej uwagi na sprawy regionalne. Czekamy na dalsze wymiany.

W NUMERZE 14 „ŻYCIA LITERACKIEGO” znajdujemy interesujący fragment książki biograficznej Irvinga Stone'a o Jacku Londonie. (Stone'a znamy dobrze ze świetnej powieści o Van Gogh'u „Pasja życia”). Zamieszczony urywek „Ostatni rozdział” przedstawia końcowe miesiące życia i śmierci znakomitego pisarza amerykańskiego. Ze względu na ogromną poczytność Londona należałoby się spodziewać, że któreś z naszych wydawnictw (może „Iskry”?) zainteresuje się tym przekładem i udostępni czytelnikowi polskiemu poznanie całej książki.

W ZWIĄZKU ZE 100-LECIEM URODZIN HENRYKA IBSENA radzieckie „Iskusstwo” ogłosiło subskrypcję na zbiorowe wydanie dzieł wielkiego pisarza norweskiego, które ukaże się w 4 tomach i zawierać będzie nie tylko utwory dramatyczne, ale również wiersze, artykuły i listy. A czy nasze wydawnictwa przygotowały się do tej rocznicy? Bo w zeszłym roku o Verhaerenie, Whitmanie, Apollinaire'ze, Błoku i Jesieninie zapomniano.

ROCZNICA REMBRANDTOWSKA wymagałaby również wznowienia w tym roku dawno wyczerpanej książki H. W. Van Loona „Życie i czasy Rembradta” („Książka i Wiedza”, 1950).

OSOBLIWOŚCIĄ W SWOIM RODZAJU i wymownym protestem przeciwko naszej polityce wydawniczej jest antologia wierszy Wacława Mrozowskiego (Oddział Łódzki ZLP) pt. „Ludziom czułym”, którą autor wydrukował na maszynie do pisania w liczbie 10 (sic!) egzemplarzy „wyłącznie dla przyjaciół”.

Zawiera ona wybór utworów z lat 1933 — 1955 (czterdzieści wierszy). Przy zastosowaniu najsurowszej selekcji więcej niż połowa tych utworów mogłaby się złożyć na zbiorek, którym powinno było zainteresować się któreś z wydawnictw. Mrozowski zresztą pod tym względem nie jest odosobniony: Tadeusz Bocheński, który niedawno obchodził w Zakopanem 40-lecie pracy pisarskiej, poeta, tłumacz i prelegent (przeszło 850 wygłoszonych odczytów!), nie mógł dotychczas znaleźć wydawcy na zbiór nowych wierszy pt. „Gościńce”. Nie mając maszyny do pisania zadal sobie benedyktyński trud i „wydał” swoją książkę w liczbie 5 egzemplarzy napisanych odręcznie. Wracamy do czasów średniowiecza i zapominamy o wynalazku Gutenberga. Wydaje nam się, że dzisiaj, kiedy uzdrawiamy nasze życie polityczne, społeczne i kulturalne, powinniśmy również zwrócić uwagę na stosunki panujące w naszych spółdzielniach wydawniczych.

MIŁOSNYCY TWORCZOŚCI ALEKSANDRA BŁOKA, którzy mieli szczęście zdobyć dwutomową edycję jego dzieł, wydanych w r. ub. w Moskwie nakładem Państwowego Wydawnictwa Literatury Pięknej, znaleźli w niej nie tylko wiersze i sztuki świetnego poety, ale również przeważnie nieznaną u nas jego szkic, artykuły, przemówienia, wyjątki z dzienników i notatników oraz wybór listów. Szkoda, że zabrakło wśród nich sztuk „Korol na płoszczeni” i „Dziejstwo o Teofilie” („Le Miracle de Théophile”) według Rutebeufa, truвера z XII — XIII wieku.

LITERACI CZESCY, SŁOWACCY I POLSCY, którzy spotkali się w Zakopanem i Tatrzańkiej Łąnicy w dniach 19—23 marca, opublikowali wspólny tekst listu do zarządów głównych Związku Pisarzy Czechosłowackich w Pradze i Związku Literatów Polskich w Warszawie. W liście tym proponują coroczne zwoływanie spotkań w ce'u omawiania aktualnych zagadnień pisarskich, zorganizowanie regularnej wymiany materiałów między czeskimi, słowackimi i polskimi pismami literackimi, materiałów, które miałyby charakter informacyjny i jednocześnie mogły stanowić podłoże do dyskusji, wydawanie wspólnego almanachu literackiego, zorganizowanie wzajemnej pomocy w pracy przekładowej, współdziałanie w tworzeniu narybku tłumaczy, krytyków literackich i znawców literatur pobratymczych, udostępnienie domów polskich, czeskich i słowackich artystów dla członków obu związków literackich i założenie wspólnych domów wypoczynkowych w Wysokich Tatrach i nad Bałtykiem. Inicjatywie takiej można tylko przyklasnąć i nie wątpimy, że Zarządy Główne obu związków postarają się o jej zrealizowanie.

— kaj —

KORESPONDENCJA

Ob. Ir. Rod. w Stalinogrodzie. Nie rozumiemy pytania: „jakie tematy mogą być umieszczane, czy tylko wiersze liryczne związane z naszymi pisarzami?“ (Co to znaczy?) „czy też we własnym zakresie można coś układać?“ Napiszcie wiersz „we własnym zakresie“ i jeśli będzie dobry, to go zamieścimy.

Ob. Ed. Szym. w Gołańczu. Z nadesłanych wierszy nie skorzystamy. Sądzimy jednak, że warto pracować.

Ob. Józ. Rat. w Poznaniu. Wiersze Wasze przekazujemy kolegium: prawdopodobnie coś pójdzie do druku.

Ob. L. Mir. w Warszawie. Czy po Belmoncie, Tuwimie i Ważyku warto jeszcze brać na warsztat przekładowy „Oniegina“?

Ob. St. M. w Lublinie „Wspomnienia murarza“ jeszcze nie do druku, ale warto pracować. Radzimy wejść w kontakt z Kołem Młodych.

Ob. Hel. J. w Lublinie. W opowiadaniu „Skąd się rodzi pustka“ widzimy pewną zapowiedź możliwości twórczych. Radzimy również skontaktować się z Kołem Młodych.

Ob. Wł. Mak. w Warszawie Wiersze schematyczne w treści i słabe pod względem formy.

Ob. Ob. W. K. w Rudzie Hucie, J. Róż. w Pózgu, J. Bas. w Lublinie Słabe.

Ob. H. Szcz. w Bobliwie Radzimy nie pisać wierszy.

Ob. Stef. Dąbk. Wiersze świadczą o możliwościach poetyckich. Najlepsze — „Omnia parvi habenda“ i „Pragnę“. Niezły „W zawieję śnieżną“ pisany pod wpływem wczesnych utworów Wierzyńskiego. Przyślijcie nam za kilka miesięcy dalsze próbki.

Ob. Rom. Kar. w Lublinie Z artykułu o Mickiewiczu nie skorzystamy.

Ob. R. Śliw. w Warszawie Wiersze interesujące. Znamy zresztą Wasz debiut w „Twórczości“. Może zamieścimy „Ktoś wybiegł rankiem“, „Na każdym dniu“, „Poezjo, dawałem ci noc“ lub „Pamięć“, ale na razie nie mamy miejsca.

Ob. And. Zeyl. w Poznaniu Może coś pójdzie, ale nie prędko. Wierszami nas zasypują.

Ob. Zyg. Now. w Korhyniu Z dwóch nadesłanych wierszy „Moje dzieciństwo“ znacznie przewyższa sztampowy „Socjalizm“, choć oba wiersze nie nadają się jeszcze do opublikowania. Bezwzględnie pracujcie dalej.

Ob. P. Pędz. w Łysołajach Z treści Waszego listu wnioskujemy, że rozumiecie zadania poezji, którą lubicie czytać. Ale to jeszcze nie wystarcza do napisania dobrego wiersza. Wasze próbki są bardzo słabe. Niekoniecznie trzeba być producentem poezji: konsument jej też przeżywa wiele rozkoszy.

Ob. T. Gic. w Poznaniu Niestety, na razie brak nam miejsca.

Ob. Eug. K. St. w Szczecinie Zatrzymujemy „Pójdźtesz ścieżką kochana“ i „W parku“. Może pójdą, jak będzie miejsce.

Ob. J. Bur. w Lublinie Satyra na oklepiane piosenki zbyt rozwlekła.

Ob. J. Dar w Lublinie Przyślijcie większy wybór niedrukowanych wierszy.

Ob. R. S. w Warszawie Z wiersza „Nad poetą“ nie skorzystamy.

Ob. J. Z. Artykuł o Perzyńskim nie nadaje się do charakteru naszego pisma.

